

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 68

20 kwietnia, 1944

Cena (Price) 1/-

TADEUSZ BIELECKI

DROGI POLITYKI POLSKIEJ

ZABIERAM głos¹⁾ w wyjątkowo trudnej i przełomowej chwili. Obok powikłań i kłopotów natury politycznej, których nie zdołano dotąd rozplątać w obrębie wielkich mocarstw, pełna zagadek jest sytuacja militarna. Nie wiemy, kiedy i jak ruszy wyprawa aliantów na kontynent, nie wiemy, jak długo wojna potrwa, chociaż widać już klęskę Niemiec. Jedno wiemy napewno, że wojna jeszcze trwa, że olbrzymich wysiłków wszystkich narodów zjednoczonych trzeba, żeby ją zwycięsko zakończyć i że zagadnienie prowadzenia i wygrania wojny góruje jeszcze nad wszystkimi innymi. Ten cel naczelny: pobicie Niemiec, nakazuje nam traktować ogólnie splecione problemy polityki światowej i trzymać na wodzy uczucia i pasję, które w nas grają. Historycznymi odruchami ani bezradnym czekaniem Polski nie odbudujemy.

To stwierdziwszy na wstępie, przechodzimy do spraw, o których wiemy, jak się mają. Od spowitej tajemniczą mgłą Anglii, przeczucami się myślą na wschód, do zwycięsko nacierającej Rosji. Od trzech miesięcy wschodnie ziemie Polski są znów widownią krwawych zmagających wojennych. Wołyń i Ziemia Czerwieńska poraż trzeci czasu tej wojny zmieniają okupanta. Nie potrzeba wielkiej wyobraźni, żeby odtworzyć sobie los ludności tych ziem, żeby odtworzyć wojnę dotkniętych. Przypominają się czasy *Potopu*, siedemnastowiecznych najazdów, kiedy coraz to inna fala zalewała znękaną Rzeczpospolitą. Wojska sowieckie — dodajmy — wchodzą na nasze ziemie w toku nieuregulowanego dotąd sporu granicznego, uważając wschodnią część Polski za swoją własność. To też nie dziw, że w organie rządu polskiego w Londynie zjawiają się przerażające pytania, jak na przykład w związku z ujawnianiem się dowódców armii krajowej na zajętych dziś terenach Rzeczypospolitej: „*Nieznane losy wysłannika polskiego. Jakie jest stanowisko Rosjan wobec armii krajowej?*”, lub z powodu wiadomości o powstaniu trzeciej dywizji Berlinga, złożonej z Polaków, pochodzących z ziem, zajętych przez Sowietów: „*Czy to pobór?*” Myślę, że wszyscy zebrani łatwo dadzą odpowiedź na te pytania, nie potrzebując więc ich wyre-

czać. Dodam tylko, że niepokój o los oddziałów naszej armii podziemnej, które z polecenia Rządu zgłaszały współpracę dowódcom wojskowym sowieckim, ogarnia coraz szersze koła społeczeństwa polskiego. Oddziały te nie zgłaszały się tam po to, żeby się poddawać Sowietom, lecz żeby zadokumentować nieprzerwane prawo Polski do tych ziem i nawiązać łączność celem wspólnej walki z wrogiem niemieckim.

Stwarza to wszystko sytuację nad wyraz ciężką. Z niepokojem, ze wzrastającym niepokojem kierujemy nasz wzrok na Kraj i pytamy, kiedy i jak skończy się droga krzyżowa Polski. Kraj zaś liczył i liczy — napróżno — że rząd polski poprzez aliantów zachodnich zapewni bezpieczeństwo ludności zajmowanych przez Sowietów ziem polskich i nie dopuści czasu wojny do jednostronnych decyzji terytorialnych.

BŁĘDY I ZANIEDBANIA

Z jakimi tedy zabezpieczeniami wchodził rząd nasz w groźny okres wojenny, na który należało być przygotowanym, jeżeli się przewidywało pobicie Niemiec.

Mieliśmy pakt polsko-sowiecki z lipca 1941 roku, zawierany w momencie groźnym nie dla nas, ale dla Rosji, kiedy Niemcy podchodzili pod Moskwę. Pakt ten nie stanął na jedynie słusznym stanowisku przywrócenia granicy przedwojennej między Polską a Rosją i nie stworzył w ten sposób trwałej podstawy przyjaznego współżycia pomiędzy dwoma sąsiadującymi ze sobą narodami. Niewłaściwe sformułowanie klauzul traktatowych przyczyniło się w pewnej mierze do zaostrenia sporu. Od samego początku bowiem unosiła się nieszczerłość nad rokowaniami polsko-sowieckimi. Ci, co w imieniu Polski pakt zawierali, zaczęli wzmawiać w świat i opinię polską, że wszystko jest jak najlepiej, i że obowiązuje granica ryska, chociaż wiadomo było, że Sowiety inaczej rozumiały artykuł pierwszy paktu i tego nie tały od początku.

Dziwnie to może brzmieć w ustach polityka, kiedy mówi o braku szczerości między stronami zawierającymi układy i kiedy wprowadza czynnik moralny w stosunki międzynarodowe. Może to zakrawać nawet na naiwność. Ale świadomie użyłem tego argumentu, ponieważ nie wierzę

w regulowanie sporów o znaczeniu historycznym jedynie za pomocą gier dyplomatycznych. Zwłaszcza w okresie tak wielkiego przewrotu dziejowego, jak dzisiejszy, nie da się wyjść z trudności, stosując sztuczki kuglarskie. Trzeba mówić innym, jasnym językiem. Nie wolno było ludzić siebie i innych, że da się ułożyć stosunki polsko-rosyjskie, pozostawiając w zawieszaniu kwestię przynależności połowy blisko naszego terytorium państwowego. Dlatego właśnie, z powodu tych sformułowań traktatu, a nie z powodu niechęci ułożenia stosunków z Rosją, Stronnictwo Narodowe wyszło, jak wiadomo, w połowie 1941 roku z rządu — i w ten sposób jak najbardziej wydatnie zaakcentowało swoją niezgodę na politykę rozpoczętą w czasie zawierania paktu polsko-sowieckiego.

Ponadto w okresie zbliżania się wojsk sowieckich do Polski, Rosja zrywa z nami stosunki dyplomatyczne.

Nie zdobyliśmy też ani kół politycznych, ani w sposób dostateczny opinii krajów anglosaskich dla naszego punktu widzenia nie tylko w sprawie granicy wschodniej ale i zachodniej. Stanęliśmy wobec tego izolowani oko w oko z Rosją, oraz z partnerem czeskim, który szybko się wycofał z planów federacyjnych i związał z Sowietami.

Wreszcie byliśmy i jesteśmy nieobecni przy ustalaniu pośrednio czy bezpośrednio wojskowych stref okupacyjnych w Europie, które mogą przesądzić praktycznie o najważniejszych sprawach politycznych.

Z takim багаżem politycznym stanęliśmy na progu roku 1944, w chwili, kiedy wojska sowieckie zaczęły przekraczać granice Polski.

Co należało było zrobić? Były dwie drogi: albo zwrócić się do aliantów, po przygotowaniu gruntu i zapewnieniu poparcia w sprawie naszych postulatów, o mediację, albo próbować wprost z Rosją pertraktować. Rząd nasz nie wybrał ani jednej, ani drugiej, a w ostatniej chwili poszedł drogą trzecią. Wiedząc, jakie jest stanowisko rządu brytyjskiego, zwrócił się o pośrednictwo do krajów alianckich, co się skończyło podwójnym niepowodzeniem: a) nie naprawiło stosunków polsko-rosyjskich, a natomiast b) ujawniło stanowisko Anglii w sprawie naszych ziem wschodnich, z czym — dalibóg — nie należało się spieszyć.

¹⁾ Przemówienie wygłoszone w dniu 5 kwietnia, 1944, w Westminster Cathedral Hall, na zebraniu publicznym zwołanym przez Stronnictwo Narodowe.

W ogóle stanowisko rządu polskiego było tak słabe, że robiło wrażenie gotowości do targów i ustępstw. Ani wywiad premiera polskiego, udzielony p. V. Bartlettowi w *News Chronicle* z dnia 4 stycznia ani oświadczenie rządu z dnia 6 stycznia ani mowa premiera do Kraju z 7 stycznia nie zawierają żadnych wzmacniających o integralności czy całości naszego terytorium. Zaś deklaracja polska z 15 stycznia (w odpowiedzi na rosyjskie warunki, ogłoszone w dniu 11 stycznia, z linią Curzona, jako podstawą rokowań) wysunęła podjęcie rozmów "między rządami polskim a sowieckim z udziałem rządów brytyjskiego i amerykańskiego na temat *calokształtu istniejących zagadnień*." Tak tedy zasada integralności została porzucona. Sowiety propozycję polską odrzucili. Do Londynu wraca premier Churchill i podejmuje na nowo próbę pogodzenia Polski z Rosją. Premier brytyjski przedłożył projekt depeszy do Stalina, na co rząd polski precyzyjne w połowie lutego swoje stanowisko (ogłoszone dopiero w dniu 11 marca w *"Dzienniku Polskim"*) w ten sposób, że — cytując dosłownie — "nie wylączył i spraw granicznych z rozmów, rozumiejąc, że dotyczyć by one miały granic Polski zarówno na wschodzie, jak na zachodzie i na północy." Jak widzimy wyraźne podjęcie wędki kompensacyjnej: za ustępstwa na wschodzie, dostaniemy coś na zachodzie. Proponuje dalej w tym oświadczeniu rząd polski linię demarkacyjną przebiegającą na wschód od Lwowa i Wilna, czyli krakowskim targiem między linią Curzona, a granicą ryską, oraz odrzuca żądanie w sprawie zmian w składzie rządu. Uderza w tym stanowisku nieustępliwość w sprawie składu rządu i gotowość do rozmów w sprawie granic.

Metoda cofania się, jeżeli się nie ma rezerw, musi jednak prowadzić od klęski do klęski. To też złudne jest pocieszenie się tym, że Rosja odrzuciła nasze propozycje i że rząd wobec tego nie poczynił ustępstw. Wygląda to na zachowanie cnoty mimowoli: rząd był gotów do ustępstw, ale nie mógł ustąpić, bo Rosja nie chciała z nim traktować. Wychodzimy jednak z okresu walki o nasze najistotniejsze prawa z przetrąconym kręgosłupem moralno-politycznym, co w naszej wylączyła sytuacji, kiedy nie mamy milionowych armii, żeby wymuszać zgodę na nasze postulaty, jest bardzo niebezpieczne i utrudnia w wysokim stopniu dalszą walkę o całość i niepodległość Polski. Za takie błędy się płaci i to płaci drogo. Nie trzeba było zresztą długo czekać: zapłacił się wnet za naszą ustępliwość i metodę niesprecyzowania się złu.

OŚWIADCZENIE BRYTYJSKIE

Z 22 LUTEGO 1944

Tłumaczono nam, że przez naszą uległość i kompromisowość zdobywamy uznanie krajów anglosaskich, tymczasem z tej właśnie strony zostaliśmy uderzeni najboleśniej. Myślę o oświadczeniu rządu brytyjskiego z dnia 22 lutego b.r., które uznawało roszczenia rosyjskie w Europie środkowo-wschodniej (a więc do naszych ziem wschodnich i do panowania Rosji nad Bałtykiem, poprzez włączenie do Rosji północnej części Prus Wschodnich z Królewcem) za słuszne i rozsądne. Jest to cios największy, jaki nas spotkał na gruncie międzynarodowym, ponieważ pochodzi od naszego sojusznika, z którym złączyliśmy się w roku 1939 na życie i śmierć i wobec którego wiernie dotrzymywaliśmy zobowiązań najgorszych chwilach i dotrzymamy w przyszłości. Uderzenie było tym dotkliwsze, że niespodzie-

wane, gdyż — przypominam — ludzono zarówno Kraj jak i emigrację, że z tej strony jesteśmy mocni i nic nam nie grozi, że dzięki naszej znakomitej taktyce zyskaliśmy pełne poparcie Anglii. Dotąd jeszcze opinia polska nie rozumie właściwie aktu z 22 lutego i reaguje nań uczuciowo tylko, jak zawiedziona kobieta oburza się i cierpi, a nie analizuje sytuacji na zimno. Nie powinniśmy jednak mieć o tyle pretensji do sojuszników, że nie bronią naszych spraw, o ile sami okazywali słabość w walce o swoją sprawę.

Czekaliśmy na reakcję rządu napróżno; żadnego mocniejszego wystąpienia. Nie mogę za takie uważać mdłego artykułu w *"Dzienniku Polskim"* czy rozmowy ministra Romera z ministrem Edenem. Badoglio, przedstawiciel państwa, które wystąpiło u boku Niemiec, na żądanie wydania części floty włoskiej Rosji zaprotestował stanowczo, zagroził dymisją, uratował flotę i co więcej... nawiązał stosunki dyplomatyczne z Rosją. Ze strony rządu polskiego zaś przyjęto błędną zasadę, że zawsze należy się zgadzać z aliantami. Dochodzi do tego, że organ rządu w numerze z 13 marca 1944, zamazując sytuację, ogłasza: *"Jednomyślny pogląd rządu polskiego idzie równoległe z opinią rządu brytyjskiego, wyrażoną... w pamiętnej mowie z 22ub.m."* Milczenie w pewnych chwilach staje się przestępstwem. Nie wolno przytakiwać aliantowi, kiedy robi podarunki z naszych praw i ziem na rzecz trzeciego państwa.

Oświadczenie rządu brytyjskiego z 22 lutego jest niezgodne z duchem i literą angielsko-polskiego układu o wzajemnej pomocy z 25 sierpnia 1939 roku. Naród polski nie pogodzi się nigdy z przesuwaniami dowolnym naszego terytorium i będzie nawracał do oświadczenia premiera Churchilla z dnia 5 września 1940 roku, które brzmiało, że "z drugiej strony nie zmiierzamy uznać żadnych zmian terytorialnych, które zachodzą w czasie wojny, chyba, że nastąpią one za swobodną zgodą i z wolnej woli stron zainteresowanych." Sojusze były zawierane dotąd celem ochrony i udzielenia sobie wzajemnej pomocy w razie napaści a nie krajania jednego z partnerów dla dogodzenia trzeciemu. Zły to byłby precedens, gdyby od tego miało się zacząć wprowadzanie nowego porządku powojennego w świecie. Opinia polska nie zgadza się i odrzuca stanowczo poglądy wyrażone w sprawie polskiej w oświadczeniu rządu brytyjskiego z 22 lutego 1944 r. Nie ma to nic wspólnego z naszym uznaniem i podziwem dla postawy w tej wojnie narodu brytyjskiego i jego znakomitego piemięta. Dziwi się polska opinia, dlaczego w tej właśnie chwili wspomniano nam przyłączenie się Wilna do Rzeczypospolitej i dlaczego zakwestionowano przynależność naszych ziem wschodnich do Polski właśnie teraz, kiedy ma iść na Europę inwazja aliancka. Nie wystarczy nam sympatia, chcemy zrozumienia dla naszych postulatów. Dlatego oświadczając naszą sympatię do narodu sojuszniczego i nasze zrozumienie dla trudnej sytuacji, w jakiej się Wielka Brytania znajduje, nie posuniemy jej tak daleko, żebyśmy ze swojej strony dopuszczali do jakiegokolwiek okrojenia imperium brytyjskiego.

Uważamy również, że oświadczenie z dnia 22 lutego nie przyczyni się do wzmocnienia pozycji W. Brytanii w Europie. Politycznie posunięcie to chybiło, gdyż nie przyczyniło się do załatwienia sporu polsko-rosyjskiego ani nie nasyciło Rosji. Sowiety, mając oświadczenie brytyjskie w sprawie Polskiej od razu poszły dalej, na inne tereny: skierowały

się ku Morzu Śródziemnemu, uznały rząd Badoglia i weszły w bezpośrednią sferę interesów naszego alianta brytyjskiego.

ZAGROŻONA NIEPODLEGŁOŚĆ

Nie pociesza nas zapewnienie, że marszałek Stalin jest za "silną i niepodległą Polską." Niepodległość nie jest pojęciem abstrakcyjnym. Muszą być spełnione pewne kardynalne warunki, żeby dane państwo było naprawdę niepodległe. Wyobraźmy sobie jakby wyglądała ta część Europy, gdybyśmy ją urządzili tak, jak to się dziś proponuje. O Litwie i Bukowinie nikt już nie wspomina, chociaż posiadanie tych krajów przez Rosję bierze nas w nożyce od wschodu. Wschodnią część Polski chce się włączyć do Rosji Sowieckiej. Na południu Czechi i Słowacja mają się stać — w sensie militarnym conajmniej — przedłużeniem ramienia sowieckiego w głąb Europy. Północny pas Prus Wschodnich z Królewcem ma przypaść Rosji, co nas już wprost chwytą za gardło. Na zachodzie okupacja sowiecka ma sięgać przynajmniej po Odrę. (Austria i Berlin mają być okupowane wspólnie). Pomyślmy przez chwilę i odwrotny sobie obraz, jaki się rysuje: to przecie zamknięcie nas w więzieniu. Czy w takich warunkach, w takich granicach moglibyśmy być niepodlegli?

Jak widzimy, chodzi tu nie tylko o ziemie wschodnie, jak to nam nieraz wmawiano. Zagrożone są nie tylko ziemie wschodnie, zagrożona jest Polska. Kiedys Powałski, jeden — obok Romana Dmowskiego — z założycieli naszego Obozu, przypomniał powiedzenie z pierwszych lat Królestwa Kongresowego: "Głupia Polska bez Poznania" — i miał rację. Dziś można to odwrócić i powiedzieć: "Głupi Poznań bez Polski." Nie można terytorium państwowego żywego narodu związać dowolnie, jak harmonię to w prawo, to w lewo.

Czegoż potrzeba w naszym położeniu? Musimy na wschodzie zachować granicę ryską, ułożoną wspólnie, a więc kompromisowo, pomiędzy Polską a Rosją. Na zachodzie i północy musimy poszerzyć nasze granice, żeby skończyć z tym dziwoliągami, który nam wprowadzał niemal pod stolicę pięć krzyżacką w postaci Prus Wschodnich. Musimy iść i na północ i na zachód ku Odrze, żeby stworzyć państwo zdolne do samodzielnego życia i prawdziwej niepodległości.

Stanowisko Kraju jest mocne i jasne, jak nigdy, w tych właśnie sprawach. Kraj się nie godzi na *unctum* pomiędzy granicą wschodnią i zachodnią, uważając, że ziemie zachodnie nie mogą być kompensatą, jak się to mówi, ale należą się nam one, jako ongiś zagrabione. Godzi się Kraj, oczywiście, tak jak i my się godzimy, na podjęcie stosunków z Rosją, ale pod warunkiem szanowania naszej suwerenności i integralności. Kraj stoi na gruncie poszanowania nienaruszalności granic, ustalonych Traktatem Ryskim i stwierdza, że się w walce o granice nie ugnie i nie załamie.

DNO PRZEPAŚCI

Jakże w świetle stanowiska Kraju wygląda nasze tutaj zachowanie się, nasze "narazanie się", jak mówią niektórzy. Oni tam co dzień, co godzina zaglądną śmierci w oczy, giną z dnia na dzień, ale nie dopuszczają myśli nawet o jakichkolwiek targach naszymi ziemiami. A my tutaj, wygodnie bytując, wahamy się, czy powiedzieć twardo, o co nam idzie w sprawie naszych żywotnych interesów. Jakaż dysproporcja między stanowiskiem walczącego Kraju a stanowiskiem pewnych kół emigracji.

Przegląd naszego położenia międzynarodowego, dokonany tutaj w wielkim skrócie, wykazuje, że zśliśmy od kłęski do kłęski i to wskutek małoudusznej postawy rządu, nie odpowiadającej temu napięciu odwagi i poświęcenia, jakie cechują nasz Kraj. Znaleźliśmy się wreszcie, tocząc się po równi pochyłej, na dnie przepaści.

Stronnictwo Narodowe próbowało powstrzymać rząd nad przepaścią i wielokrotnie wysuwało żądanie zmiany rządu. Nie po to, żeby złapać tekę ministerialną, to by było łatwe, ale po to, żeby zmienić kierunek polityki polskiej, a raczej stworzyć ten kierunek i zmienić postawę polityczną naszej reprezentacji państwowej. Jak wiemy, ani Prezydent ani rząd, nie skorzystali z nadarzających się okazji i tkwili dalej w bezruchu, przeciwstawiając nawałnicom dziejowym — martwotę biurokratyczną. Trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego takie zachowanie nazywa się rządzeniem.

Zdaje się, że nie można już spaść niżej, a więc jedyna droga możliwa prowadzi już tylko do góry, bylebyśmy oczywiście nie leżeli dalej na dnie, nie usiłując się nawet podnieść. Nie ludźmy się, że to dźwiganie się w górę będzie łatwe i szybkie i że wystarczy jednego protestu, czy zebrania, żeby się móc z przepaści wydobyć. Żeby naprawić błędy popełnione, za które nie odpowiadamy politycznie, bośmy z nimi walczyli, ale które się stały, — musimy rozpocząć wspinanie się w górę, budowanie Polski całej, wolnej i niepodległej, w wywołanej od wroga Europy. Zebranie dzisiejsze powinno być wstępem tylko do dalszych działań.

“REALIŚCI” I ROMANTYCY

Tchórzliwi, bo są i tacy, pytają: czy zdolamy wyjść z tego położenia? Są inni, nieliczni zresztą, którzy skapitulowali wobec siebie samych. Są wreszcie “superrealiści,” którzy już pogodzili się z podległością jako faktem koniecznym i nieuniknionym. Nas nazywają “romantykami,” którzy umieją tylko umierać, a nie umieją żyć. Tym odpowiadam: wśród takich przewrotów, jak obecny, nieraz najbardziej realnym okazuje się t.zw. “romantyk.” W tym położeniu geograficznym na otwartym z zachodu i wschodu szmacie ziemi, gdzie nas Opatrzność osadziła, musieliśmy budować przeszkody, których nie było, z własnych piersi, musieliśmy umierać, żeby żyć. A jeżeli idzie o realizm i romantyzm, zapytuję: Kto okazał się większym realistą w roku 1940, czy Churchill, który wbrew wszelkim danym wierzył w zwycięstwo, czy Mussolini, który wtedy właśnie przyjął, jako fakt pewny ostateczny triumf Hitlera i Niemiec? Byłoby ciekawe zapytać dziś Mussoliniego, co się okazało realną polityką. Albo żeby sięgnąć do przykładów z tamtej wojny: “romantyk” Dmowski, który walczył o dostęp do morza i włączenie ziem zachodnich, co mogło wówczas za mrzonkę uchodzić, okazał się większym realistą, niż Daszyński, który w połowie roku 1917, po uchwale koła parlamentarnego wiedeńskiego uważał, że dostęp do morza może prowadzić tylko przez umiędzynarodowioną Wisłę.

Dlatego “realiści” dzisiejsi mogą łatwo okazać się ludźmi małej wiary, po prostu głupcami.

Nasze przekonanie jest: Polska była, jest i będzie! Obok wiary, która wymaga przede wszystkim uczynków, a więc naszych własnych wysiłków, są i obiektywne przesłanki, które pozwalają nam przewidywać lepsze zakończe-

nie naszej walki, niżby na to wskazywała dzisiejsza groźna chwila.

POLITYKA ROSYJSKA

Niewiadomo, czy Sowiety będą mogły zrobić wszystko, co zechcą. A w polityce jest ważne to, co się może, a nie to, czego się chce. Sowiety chciałyby władztwa nad Europą, dostępu do Atlantyku, do Oceanu Spokojnego i do wielkich szlaków handlowych, i to przez własne terytoria lub terytoria nowych, “usamodzielnionych” republik sowieckich, jak Finlandia, Persja, Bułgaria i t.d. Chciałyby też udziału w nafcie arabskiej i chińskich rynków zbytu. Na początku wojny niemiecko-sowieckiej niedoceniano sił rosyjskich, ani wspaniałej postawy ludu rosyjskiego w walce obronnej o swoją ziemię. Dziś może przeczenia się siły sowieckie, sądząc, że wszystko same rozstrzygną. Nietylko mniejsze państwa zależą od wielkich, ale i wielkie potrzebują nieraz mniejszych. Rosję czeka jeszcze zakończenie wojny z Niemcami, co nie będzie tak zupełnie łatwe, i umocnienie się w krajach, które prowadzi na Ocean: Atlantyki, Spokojny i Indyjski, bo to są odwieczne kierunki ekspansji rosyjskiej. Dlatego nietylko Europie na Rosji, ale i Rosji na Europie będzie zależało, a Europa mierzyć będzie swój stosunek do Rosji na podstawie tego, jak się zachowają Sowiety wobec Polski.

Na pytanie, czy widzę możliwość przyjaznego ułożenia się stosunków polsko-rosyjskich odpowiadam, że nie wyłączam porozumienia z Rosją, porozumienia, to znaczy uznania tego rozgraniczenia, jakie zrobiliśmy dobrowolnie w roku 1921 w Traktacie Ryskim.

Chwytnie nas za gardło, zabór naszej ziemi, której Rosji nie damy, to nie droga do porozumienia. Czas byłby skończyć odwieczny spór, który różne w ciągu dziejów wyglądał: raz my zajmowaliśmy stolicę rosyjską, drugi raz Rosja zajmowała stolicę Polski. W wieku XI myśmy wkroczyli do Kijowa, ówczesnej stolicy Rusi. W wieku XIV Olgię litewską podchodził pod Moskwę, choć jej nie zdobył; w wieku XVII hetman Żółkiewski zajął Moskwę i osadził tam garnizon polski, a w wieku XX myśmy wkroczyli do Kijowa i stamtąd szybko się wynieśli, a potem Rosja podeszła pod Warszawę i jeszcze szybciej się wycofała. Nie są to przypominam historię, żeby wywoływać próżną dumę narodową. Ale polityka, która nie patrzy w przeszłość, która nie ma poczucia ciągłości własnych dziejów, taka polityka niech nie próbuje rozstrzygać o naszej przyszłości.

Ruch nasz po dawnemu stoi na stanowisku potrzeby nawiązania i ułożenia dobrych stosunków z Rosją, ale musimy stwierdzić, że wybór obecnie nie od nas zależy. Musi wybrać Rosja. Wydaje się, jak gdyby na razie Rosja już wybrała — politykę zaborczą. Ale Rosja musi dokonać wyboru na dłużej, niż na okres upojenia zwycięstwami. Jeżeli pójdzie na podbój Europy, naprzód Europy środkowo-wschodniej, a później poprzez “przyjazne” rządy zacznie umacniać wpływy partii komunistycznych, żeby położyć rękę na całej Europie, to wtedy zgody nie będzie. Europa będzie się bronić, a Rosja będzie miała wieczne wrzenie u zachodnich swoich granic, co nie będzie bez znaczenia wobec budzącej się u jej wschodnich granic Azji. Jeżeli Rosja nie będzie dążyć do hegemonii w Europie, a do ułożenia z nią stosunków, wtedy nastąpi trwałe porozumienie polsko-rosyjskie. Rosja ma teraz możliwość dowieść, czy naprawdę nie chce się mieszać w sprawy

wewnętrzne sąsiadów i zamieniać jednej ich niewoli na drugą. Jeżeli zacznie postępować jak najeźdźca, oświadczenie Molotowa wobec Rumunii okaże się tylko zwykłym chwytem propagandowym.

EUROPA JAKO CAŁOŚĆ

Istnieją także narody europejskie, które swą wolę do życia samodzielnego wzmocniły i wykształciły w walce z Niemcami. Sprawa polska nie jest sprawą jednego mocarstwa, ani porozumienia dwóch mocarstw, sprawa polska jest sprawą Europy. Bez istnienia naprawdę niepodległej Polski nie może być Europy, jako ośrodka cywilizacji, ani też jako zespołu niepodległych narodów. Europa jest jednością geograficzną, historyczną, gospodarczą i cywilizacyjną. Narodów europejskich nie można wspiąć do jednego worka federacyjnego i stworzyć jeden super-europejski naród. Kto chce zorganizować Europę, musi zachować odrębne, suwerenne narody, ale wobec potrzeby wiązania państw w większe zespoły, należy traktować Europę jako jedną całość, nie przesadzając dziś form powiązań między państwami. W tym kierunku zaznacza się pewien prąd w opinii angielskiej. Zacytuje kilka głosów pierwszych z brzegu, które się ostatnio odezwały. Mam na myśli broszurę nie dużą, ale bardzo ciekawą, choć nie wszystkie jej pomysły wydają się szczęśliwe a mianowicie broszurę Laytona, w której powiedziano, że Europa musi być zorganizowana bez Rosji i Wielkiej Brytanii, jako luźny związek, czy to regionalnych grup, czy też samodzielnich narodów europejskich. L.S. Amery, w swoim memoriale również stwierdza, że Europa jest całością, i że nie da się jej dzielić na sfery wpływów i kraje dowolnie. A wreszcie i min. Eden, w odpowiedzi na pytanie posła Ivora Thomasa w Izbie Gmin, w dniu 29 marca 1944 oświadczył: “Zostało w zupełności wyjaśnione, że rząd Jego Królewskiej Mości woli europejską jedność od podziału Europy na sfery wpływów.”

Ma rację Layton kiedy stwierdza: “Jeżeli Europy nie stanie, wszystko się zapadnie, jeżeli problem Europy da się rozwiązać, jest nadzieja, że problem da się rozwiązać wszędzie.” Próby ujarznienia Europy nie udawały się ani w przeszłości, ani za naszych czasów. Trzeba zatem próbować zorganizować Europę. Ale jak? Nie przez niszczenie odrębności narodowych, ale przez szukanie jedności w wielości. Nie będę się tu wdawał w szczegółowy plan zorganizowania Europy, nie tu miejsce na to. Wymienię tylko parę zasad generalnych. Przedewszystkim nie trzeba się starać odrazu wszystkiego załatwić. Wzrost jedności europejskiej musi być organiczny, a nie mechaniczny. Po drugie, jako wzór organizacji najlepiej mogą posłużyć doświadczenia *Brytyjskiej Wspólnoty Narodów*. Mało tam jest formalnych związków i instytucji, dużo poczucia faktycznej wspólnoty i powiązania interesów. Celem europejskiej jedności powinna być obrona odrębności i suwerenności narodów poszczególnych, a więc i organizacja jej na poszanowanie tej udziałności i odrębności winna być oparta. Wreszcie obok regionalnych połączeń powinna być wspólna nadbudowa z tym, że Niemcom trzeba naprzód obciąć pazury agresji. Między narodami europejskimi są oczywiście rozbieżności, ale ileż ich jest pomiędzy wielkimi mocarstwami! Małe państwa łatwiej jest pogodzić przez wielkie mocarstwa, trudniej zaś godzić wielkie mocarstwa. Kiedy one się wadzą, udziałem nas wszystkich staje się wojna. Gdyby Europa nie poczuła się jedną całością, to można by się

obawiać zmięczenia cywilizacji europejskiej, więcej — zmięczenia białego człowieka wogóle. Dlatego narody europejskie muszą same wykazać wolę do łączenia się i do życia. Nikt im nie poda ręki, jeżeli będą się rozkładać, same muszą się bronić, jeżeli chcą otrzymać pomoc. Uważam, że byłoby pożądane, zanim się wejdzie na grunt europejski, wydać wyraźne oświadczenie ze strony trzech wielkich mocarstw, jak zamierzają traktować Europę i jak chcą ją zorganizować. To ogromnie wzmocniłoby wolę narodów europejskich do walki z Niemcami. Inaczej narody europejskie z konieczności mogłyby stać się sojusznikami Sowietów w ich walce ze światem "kapitalistycznym."

PAŃSTWA ANGLOSASKIE

Dalszy czynnik — państwa anglosaskie. Oświadczenie rządu brytyjskiego z 22 lutego nie jest ostatecznym wyrazem polityki angielskiej w stosunku do Europy. I tutaj, w miarę przedłużania się wojny, zjawiają się nowe problemy i dawne, niewłaściwie postawione, trzeba będzie na nowo rozstrzygać.

Ameryka jest dziś jakby sparaliżowana wyborami prezydenckimi i do listopada trudno liczyć na to, żeby wykazywała żywsze zainteresowanie się polityką pozaamerykańską. Ale wybory się skończą i może przyjść do wyraźnego sprecyzowania stanowiska Ameryki w sprawach europejskich. Nie bez wpływu na to pozostaną czynniki religijne, ideowe i narodowościowe.

Wreszcie Kraj nasz, o którym mówiłem poprzednio. Rodzi się tam nowy typ człowieka, bogaty moralnie, który się zahartował w walce o Polskę. Kraj nasz wierzy niezachwianie w odbudowanie Polski wielkiej i niezależnej i na żadne kompromisy nie pójdzie. To jest czynnik ważny, i dla polityki polskiej decydujący.

OŚRODEK FAKTYCZNY

Przechodząc teraz do spraw wewnętrznych stwierdzam, że wyprowadzić nas z dna przepaści nie zdoła rząd obecny. Ani nie umiał się oprzeć naciskom z zewnątrz, ani nie umie pozytywnie organizować walki o nasze istnienie. Zrobić może zawód tym, którzy liczyli, że będą się długo zajmował obecnym składem naszego rządu, i że użyję sobie w ten sposób na łatwym temacie. Mamy dziś ważniejsze troski. Przypominam tylko, że Stronnictwo Narodowe, jedne z pośród Stronnic, jeszcze w połowie 1941 roku wyszło z rządu, nie godząc się na jego politykę. Stronnictwo Narodowe nie ma w rządzie. Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości, nietylko na emigracji, ale i w Kraju, jak tego mamy najświeższe, autorytatywne potwierdzenie. Kto mówi inaczej, ten kłamie. Kłamcami zajmować się nie zamierzamy. Wyjście nasze z rządu było aktem dużej doniosłości politycznej, ponieważ nie można teraz utożsamiać stanowiska narodu polskiego z polityką obecnego rządu. Stronnictwo Narodowe zawsze stało na gruncie ciągłości państwa polskiego, a więc uznawało i uznaje za jedynie legalny rząd prawidłowo wyłoniony, bez względu na to, jaki ma do niego stosunek w obrębie naszych wewnętrznych, polskich spraw. Stwierdzam jednak, że rząd nie umiał czy nie chciał wszystkich sił polskich skupić dokoła siebie i nie jest rządem koalicyjnym, lecz w swej istocie centrowo-lewicowym. Rząd ten wbrew stanowisku Kraju i naszemu oporowi doprowadził nas do izolacji w świecie i marnuje siły na rozgrywki wewnętrzne.

Jaki będzie dalszy rozwój wydarzeń? Albo rząd się zmieni i wpuści się świeżego

powietrza do zatęchłych urzędów, albo punkt ciężkości polityki polskiej przesunąć się będzie coraz bardziej od bezdusznej formy do faktycznego ośrodka polskiej myśli politycznej. Dzisiejsze zebranie jest dalszym ciągiem naszej walki i wstępem do nowej fazy prac, zapowiedzią dalszych wystąpień politycznych, które nie będą się tylko sprowadzać do zebrania publicznych. Stronnictwo Narodowe wzywa wszystkich Polaków bez względu na przynależność grupową czy partyjną, bądź też luzem chodzących, by pomagali mu w walce i łącznie z nim budowali wolną, całą i niepodległą Polskę.

OBCE WPŁYWY

Wreszcie na zakończenie notuję próby rozbijania społeczeństwa polskiego od wewnątrz. Idzie ta destrukcja i od góry i od dołu, poprzez zamaskowane organizacje komunistyczne. Jest to zjawisko coraz częstsze u nas, w Grecji, w Jugosławii i wszędzie indziej. Chcemy zgody z Rosją, ale sprzeciwiamy się penetracji komunistów w nasze życie wewnętrzne. Nie pozwolimy rozbijać spójności polskiego narodu. Próbuje się to zamieszanie wprowadzać w różny sposób, poprzez różne organizacje. Niedawno wpadła mi w ręce zapowiedź utworzenia "Zjednoczenia polskiego," które — obawiam się — nie jest ani zjednoczeniem, ani polskim. Jest też odmiana ruchu t.zw. "wszechsłowiańskiego," który zamiast wyzwalać narody słowiańskie z pod przemocy Niemiec, chciałby je oddać

w niewolę jednemu narodowi, niezupełnie słowiańskiemu. Otóż nie możemy dopuścić do tego, żeby ta obca penetracja wchodziła w nasze życie. Są też próby rozbijania armii polskiej, m. innymi przez ściąganie rzekomych, czy prawdziwych ukraińców, zamieszkałych przed tym w Argentynie, do Londynu, żeby protestowali przeciwko rzekomemu prześladowaniu w armii polskiej.

Podważa się też stanowisko Naczelnego Wodza, na co ani Kraj, ani emigracja pozwolić nie może. Jeżeli nie godzimy się na wprowadzanie zmian w rządzie pod dyktando obcym, to tym bardziej nie możemy się zgodzić na zmiany w Naczelnym Dowództwie.

Wobec tych wszystkich niebezpieczeństw, trzeba tym bardziej spójności naszą wzmacniać i czujność każdego z nas budzić. Trzeba rozgraniczać to, co jest naprawdę polskie, od tego, co tylko pod miano Polski podszywa się. Wzywamy do wzmocnienia wysiłków i do skupiania się dokoła mocnego ośrodka ideowego, bo ten tylko może się przeciwstawić gangrenie. Trzeba przeciwstawić fanatyzmowi komunistycznemu własną narodową ideologię i wiarę. Nie da się bowiem komunizmowi zwyciężyć przez licytowanie się z nim. Kierowniczym nie jest tamą dla komunizmu, ale pomostem dla niego.

Stwierdzam imieniem Stronnictwa Narodowego i tych, którzy pojmują jednakowo sytuację polityczną, że w walce nie ustaniemy aż do ostatecznego, zupełnego zwycięstwa.

TADEUSZ BIELECKI.

E. S.

UWAGI O POLITYCE AMERYKAŃSKIEJ

wobec Europy

NAJBARDZIEJ krytyczny okres w tej wojnie właśnie się zbliża. Najwyższym nakazem chwili jest utrzymanie jedności wśród Narodów Zjednoczonych.

Hasła takie głoszą ci Amerykanie, którzy starają się usprawiedliwić przeciąganie się prowizorium, jakie znamionuje obecną amerykańską politykę zagraniczną.

Jedność nie jest celem samym w sobie — odpowiadają przeciwnicy tej taktyki kompromisu dla kompromisu. Jedność winna być objawem istniejącej już zgodności celów politycznych Aliantów i ustalenia przez nich wspólnych metod postępowania w realizowaniu tych celów. Niezgodności politycznej między Aliantami nie usunie ani jej przemilczanie, ani udawanie, że jest wprost przeciwnie.

Krytycy ci, t.j. krytycy obecnego kursu polityki zagranicznej *State Department U.S.A.* twierdzą dalej, iż kurczowe trzymanie się fikcji jedności wśród Aliantów jest nie tylko nie logiczne, ale wręcz szkodliwe. Sytuacja bowiem taka pozwala Aliantowi pozbawionemu skrupułów na coraz nowe samodzielne i samolubne posunięcia i fakty dokonane. W postanowieniu kontynuowania takiej polityki umacniać go musi brak reakcji ze strony innych Aliantów, lub chociażby tylko brak krytycznej oceny. Niedawno amerykański *Office of War Information* (w skrócie O.W.I.) wydał nawet oficjalny komunikat, iż w obozie alianckim jest jedność, i że tylko pozory świadczą o czymś wręcz przeciwnym. Krytycy *State Department* słusznie zaznaczają, iż taka postawa nie ma nic wspólnego z żadną polityką. Aliant samolubny musi bowiem doszukiwać się głębszych przyczyn tej postawy i znajduje je zapewne w tezie, że

Stany Zjednoczone są praktycznie za słabe, by realizować własne cele w polityce zagranicznej.

Postawa Stanów Zjednoczonych w polityce zagranicznej wytwarza tedy w Rosji wrażenie słabości, w samej zaś Ameryce podstawy do wniosku, iż Administracji, t.j. rządowi Roosevelta, brak jakiegokolwiek koncepcji politycznej. Opinia amerykańska bowiem, zgodziłaby się może w znacznej swej części na odstępstwo od dotychczasowej polityki zasad, gdyby wynikające stąd kompromisy służyły jakimś szerszemu systemowi polityki, jakiejś koncepcji politycznej, w którejby mieściły się zarówno interesy Ameryki jak i jej ideały polityczne. Tak jak jest obecnie, twierdzi zaniepokojona opinia, koncepcji żadnej nie widać, a O.W.I. nie chcąc tego przyznać, musi w propagandzie wewnętrznej przedstawiać posunięcia sowieckie jako zgodne z polityką amerykańską, wytwarzając przez to dodatkowy chaos w pojęciach obywateli. W praktyce cały propagandowy aparat zainteresowanych w jedności Aliantów pracuje na rzecz Alianta w jedności nie zainteresowanego, a stąd krok już tylko do rezygnacji z celów politycznych Aliantów ustępujących na rzecz polityki Alianta niuściepliwego.

Zarzucają też swojemu rządowi zaniepokojeni Amerykanie, iż nie dość dokłada starań, by sprecyzować cele swojej własnej polityki i starać się pozyskać dla nich opinię politycznych Aliantów, zarówno większych jak i mniejszych oraz także państw neutralnych. Nieujawnianie tych celów ułatwia też grę Rosji Sowieckiej, która swoim obywatelom tłumaczy, że Mocarstwom "kapitalistycznym" ufać nie można, a na terenie międzynarodowym

zrećnie podsuwa swoje cele wojenne jako cele wszystkich Wielkich Aliantów.

Na tym tle polityki amerykańskiej, tak jak ją widzą sami Amerykanie krytycznie nastroszeni wobec *State Department*, nie można chyba się dziwić takiemu osobliwemu zjawisku, jak to, że państwa neutralne właśnie teraz, kiedy Sprzymierzeni najbliżsi są zwycięstwa, najbardziej starają się utrzymać neutralność i jakgdyby od Sprzymierzonych odsuwają się. Inaczej było w 1940 i 1941 r. nawet, kiedy neutralni bardziej odważnie przeciwstawiali się żądaniom niemieckim, głośno powołując się na ideały reprezentowane wtedy przez Wielką Brytanię i ich potencjalnego w tym czasie sprzymierzeńca — Stany Zjednoczone.

Według dotąd uznawanych w świecie prawideł neutralność była jedną z funkcji suwerenności państw, szanowaną przez obie strony wojujące. Zasadę łamały dotąd Niemcy zarówno w wojnie poprzedniej jak i wojnie obecnej, szanowali ją jednakże przeciwnicy Niemiec, broniący zasad i prawa w życiu międzynarodowym przeciw samowoli i przemocy....

Na tym tle trzeba ocenić ostatnie wystąpienie Cordell Hulla, który zażądał od neutralnych zmiany dotychczasowej ich postawy.

Nic chyba nie charakteryzuje tak dosadnie braku atrakcyjności *obecnej polityki* Sprzymierzonych, i w tym polityki amerykańskiej, jak właśnie to wystąpienie amerykańskiego Sekretarza Stanu. Nie najmniej ważne zaś w wystąpieniu tym jest mieszczące się w nim uznanie, że nawet tak ogromne mocarstwa jak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania potrzebują przychylności mniejszych narodów europejskich.

Amerykańska opinia publiczna, zdając sobie sprawę, że dla bezpłodnego kompromisu poświęca się politykę zasad, widzi dalsze jeszcze powody do niezadowolenia. W czym ma szukać ona podstawy przyszłego współżycia narodów, po zakończeniu wojny? W czym ma szukać przyszłego porządku gospodarczego w życiu międzynarodowym, bez którego amerykańska *prosperity* jest nie do pomyślenia? Wojsko amerykańskie w Europie zostać nie może po wojnie; mogłaby zostać polityka — cóż jednak ją czeka, skoro utraciło się zaufanie dawnych przyjaciół, na których współpracę można było liczyć niezawodnie? Jakież więc są widoki na przyszłość polityki obecnej, polityki wyrzucenia za burtę łodzi Sprzymierzonych starych zasad międzynarodowej lojalności dlatego tylko, że tego sobie życzy jeden z pasażerów?

Może jednak na miejsce starych przyjaciół zyskać się nowych? Nie wynika to jednak bynajmniej ze stosunków z partnerem sowieckim. Jeden z najbardziej politycznych organów z prasy amerykańskiej, *Washington Post*, już w styczniu b.r., w miesiąc po konferencji teherańskiej, notował, że stosunki anglo-amerykańskie w Sowietami stały się "zagnatwane". Ustalono tam jakoby procedurę wspólnego załatwiania sporów, a tymczasem Stalin w praktyce postępuje bezceremonialnie i przeprowadza zasadę, że sprawy, w których Rosja jest zainteresowana, załatwia on sam, sprawy zaś w których Ameryka i Wielka Brytania są zainteresowane, załatwiają one mają być wspólnie. Czyż można tedy się dziwić, jeżeli krytycy Administracji amerykańskiej wyrażają obawę, że w przyszłości Rosja zastępuje swoją metodę decyzji jednostronnych i do Azji Wschodniej? Problemy rosyjskiego Zachodu mogą stać się, wedle tych Amerykanów, dziecinną zabawką wobec problemów Mandżurii. Barnett Nover w *Washington Post*, w artykule "Soviet Policy Examined", sądzi, iż pośpiech Rosji w stwarzaniu faktów dokonanych wskazuje na determinację jej

zorganizowania Europy Środkowo-Wschodniej jako strefy wyłącznych i decydujących wpływów rosyjskich. Niechęć Rosji do Polski tłumaczy amerykański autor, bardzo wnikliwie, obawą posiadania u granicy zachodniej państwa dość dużego i silnego, by mogło odgrywać w polityce międzynarodowej rolę samodzielną — jak Polska po roku 1918.

Część prasy amerykańskiej dostrzega nawet zbieżność celów politycznych Niemiec i Rosji, wyrażającą się w dążeniu do unicestwienia Polski jako państwa niepodległego o samodzielnej polityce zagranicznej i wewnętrznej. W związku z tym również poddaje się krytyce *State Department*, przyczem argumentuje się, że nawet przejściowe osiągnięcie celów politycznych Niemiec i Rosji w latach 1939-41 nie stworzyło warunków pokoju w Europie Wschodniej oraz że konieczność istnienia Państwa polskiego została przez bieg wypadków jeszcze raz potwierdzona.

Obronicy obecnego kursu polityki amerykańskiej szukają środków zaradczych na istniejące trudności międzynarodowe m.i. w ograniczeniu zasady suwerenności państw. Praktycznie jednak poświęcić część suwerenności miałyby oczywiście państwa słabsze, którym by mogli narzucić swą wolę silniejsi "sojusznicy". Przeciwnicy tej tezy wskazują jednak, słusznie naszym zdaniem, że bynajmniej nie państwa mniejsze ale właśnie mocarstwa są źródłem trudności i nieporozumień. I to im większe mocarstwa, tym większe trudności. Na placu pozostały po naszej stronie tylko trzy mocarstwa w prawdziwym tego słowa znaczeniu, ale horyzont bynajmniej przez to się nie wyjaśnił.

Powoli amerykańska opinia publiczna zaczyna doceniać znaczenie mniejszych państw właśnie w świetle obecnych wydarzeń. Dostrzega już ona, że stan rzeczy na Pacyfiku przedstawiałby się katastrofalnie, gdyby w czasie negocjacji do boju olbrzymiej amerykańskiej "fleet in being" miała ale czujna i dzielna flota holenderska nie była się poświęciła w walce z siłami japońskimi. Nie inaczej miałaby się sprawa z Wielką Brytanią w Europie, a nawet z Niemcami bez pomocy europejskich quislingów, którzy umożliwili najędźdźcom zorganizowanie podbitej Europy na warunkach wojennych. W stosunku do Rosji, która nie miała przyjaciół wśród mniejszych państw w czasie zmagania z Niemcami, rolę tę odegrały wymienione U.S.A. i Wielka Brytania, zarówno niosąc pomoc materialową, jak i współdziałając militarnie. Więc budzi się w Ameryce — na razie w opinii publicznej tylko — powoli świadomość konieczności pozyskania zaufania mniejszych narodów europejskich.

Jeden z politycznych pisarzy amerykańskich, David Dollin w książce swojej p.t. "*Russia and Post-War Europe*", uzależnia rozwój stosunków amerykańsko-rosyjskich od walki, jaka stoczona być musi choćby tylko w sferze polityczno-dyplomatycznej między ekspansyjnymi siłami sowieckimi, a siłami dążącymi nie do ekspansji lecz pokoju jako najważniejszego politycznie dobra. Polityka sowiecka wedle niego, nie ufając obecnym sprzymierzeńcom, zdąży — "na wszelki wypadek" — do zajęcia pozycji strategicznych, których przyznania będzie się domagać także w układach pokojowych kończących tę wojnę, a to dla zapewnienia sobie podstaw wyjściowych do następnych konfliktów światowych. Dollin sądzi, że Rosja żadnej wiary nie pokłada ani w przetrwanie obecnych aliansów wojskowych ani też w paktów o zbiorowym bezpieczeństwie.

Można tu zatem choćby na pół serio powtórzyć pytanie sformułowane poraz pierwszy w stolicy jednego z europejskich państw neutralnych: skoro widoczne jest, że sprzy-

mierzone wielkie mocarstwa nie mają do siebie nawzajem zaufania, jak mogą wymagać, żeby do nich razem miały to zaufanie narody słabsze?

Jeżeli jednak powrócimy do opinii amerykańskiej, rozumującej po kupiecku a zarazem uczciwie, znamienne jest zwracanie się w niej przekonanie, że pustką w swojej polityce Ameryka zaufania Europie nie zdobędzie. Czy, pytają nawet prorządowi demokraci, żołnierz amerykański po to krwawi się we Włoszech, żeby sycylijski entuzjazm dla wybawców zmieniał się wkrótce w proowiecką wiarę polityczną? Wojny nie prowadzi się dla samej wojny, ale albo dla przywrócenia stosunków zrujnowanych przez najazdy, albo dla stworzenia lepszej rzeczywistości. Trudno Europie zrozumieć, że Ameryka widzi w oddaniu poszczególnych narodów europejskich pod władztwo sowieckie urzeczywistnienie drugiego z wymienionych celów wojny. Trudno też coraz bardziej zrozumieć to opinii amerykańskiej.

Niestety, zatroskany Amerykanin nie znajduje drogowskazu również w postępowaniu brytyjskiego Alianta i świadomości tego również rozszerza się na kontynencie amerykańskim, bez żadnego zresztą pożytku nawet dla ściślejszych tylko interesów brytyjskich. Rosja zaś, wsparta oświadczeniem brytyjskiego Premiera i uspokojona aprobatą rządowych piór amerykańskich, robi krok dalej w stosunki wewnętrzne Europy i zaczyna się umacniać również w polityce wewnętrznej różnych narodów europejskich. Cytowany Dollin bardzo trafnie tłumaczy nagłe sowieckie przywiązanie do demokracji poza granicami Rosji: "podstawowa wartość demokracji z komunistycznego punktu widzenia leży oczywiście w fakcie, że demokracja zapewnia specjalne możliwości i środki dla budowania bez przeszkód partii komunistycznej, dla jej działalności propagandowej, jej prasy i rozwoju. Wstepnym warunkiem do posiadania silnej partii komunistycznej jest posiadanie demokracji".

Na tle tych luźnych uwag i informacji o niepokoiu nurtującym uświadomioną część opinii amerykańskiej można skreślić parę słów o perspektywie tych spraw amerykańskich od strony europejskiej. W interesie Ameryki i jej pomyślnej przyszłości jest pozyskanie zaufania narodów europejskich. Obecna polityka amerykańska, oddająca lekkomyślnie troskę o los Europy komu innemu, narodów europejskich nie pozyska. Interesy amerykańskie w Europie mogą być respektowane i chronione należycie tylko przez lojalnych Europejczyków, rozumiejących zasadniczą głębszą wspólnotę z Nowym Światem. W celu osiągnięcia tej nowej rzeczywistości Ameryka musi zdobyć się na *wielką* politykę.

E. S.

APEL DO CZYTELNIKÓW

Administracja "Myśli Polskiej" zwraca się z uprzejmą prośbą do P.T. Czytelników, którzy nie kompletują naszego pisma, a posiadają jednak w swoich papierach pojedyncze egzemplarze "Myśli Polskiej", o łaskawe przesyłanie ich Administracji.

Chodzi nam specjalnie o następujące numery: 9, 20, 33, 34, 38, 39, 40, 41, 45, 46, 47. — Numery te nadesłane w dobrym stanie gotowi jesteśmy, jeśli nadsyłający będzie sobie tego życzył, uznać jako egzemplarze wymienne za numery bieżące, czyli poprostu jako równowartość odpowiedniej kwoty za prenumeratę.

Winni jesteśmy podać krótkie wyjaśnienie naszego apelu. Otóż ciągle zapotrzebowanie na komplety wyczerpało nasze zapasy, tak że w chwili obecnej odczuwamy brak wymienionych numerów, a uzupełnienie może nam przynieść jedynie odzew na nasz apel.

NOTY I UWAGI

EUROPA ŚRODKOWA

Deklaracja Molotowa pod adresem Rumunii, ogłoszona w dniu 2 kwietnia b.r. z okazji przekroczenia przez wojska rosyjskie Prutu, uważanego przez Moskwę za granicę państwową Rosji i Rumunii oraz deklaracje niemieckie z okazji zaciśnięcia pięści niemieckiej nad Węgrami, nie mogą nie przypomnieć raz jeszcze narodom i ludom Europy Środkowej, że niektóre z nich od XVII, inne od XVIII wieku rozdzielane są z jednego czy z drugiego kierunku, czasem z obu równocześnie.

Wprawdzie deklaracja Molotowa zredagowana jest w słowach ogólnych i zarazem obiecujących, ale też ze strony Rosji nigdy nie były ważne słowa, zawsze czyny.

Deklaracja może być zresztą posunięciem bardziej militarnym, niż politycznym. W ślad za nią bowiem przychodzi wieści (notowane przez *Observera*), że Rosja byłaby skłonna ułożyć się nawet z dyktatorem Antonescu, byle zapewnić sobie dalsze powodzenie militarne, t.j. wybicie z szczyku walczącego Rumunii. Widzicie, panowie z Pałacu Rotszylda i ze Stratonu? Z tym się liczą, kto walczy, nie z tym, kto się ugina!

Pisząc o Europie Środkowej, nie sposób nie odnotować głośnych propagandowych wystąpień czechosłowackich w Londynie z okazji wkroczenia jakoby Armii Czerwonej na Ruś Podkarpacką. Wiadomości o tym wkroczeniu nie były ściśle i opierały się na rozkazie pochwalnym Stalina, adresowanym do dowódcy Pierwszego Ukraińskiego Frontu Żukowa, w którym była wzmianka o dotarciu do Rusi, prawdopodobnie od strony Rumunii. Dotarcie jednak do granicy, a wkroczenie wojsk to — w górskim zwłaszcza terenie — dwie różne sprawy. Stwierdzenie, że wojska rosyjskie osiągnęły punkt graniczny z przedwojenną Czechosłowacją, potrzebne było Moskwie dla podkreślenia, iż Związek Sowiecki uważa, że ma granicę z Czechosłowacją. W Londynie wyciągnięto z tego ten pośpieszny wniosek, że Karpaty zostały przekroczone i wojna toczy się już po drugiej ich stronie. Gdyby tak było, mogłoby to tylko oznaczać, że Niemcy już przegrywają całą wojnę i to wyłącznie na rzecz Rosji Sowieckiej. To wyraźne nieporozumienie oznaczać tylko może, że w Londynie nie orientują się zbyt dokładnie co do wydarzeń na froncie wschodnim.

TAJEMNICA WOŁYŃSKA

i
TAJEMNICA LONDYŃSKA

Emisariusze polskiej podziemnej Armii Krajowej zgłosili się, zgodnie z instrukcjami naszego rządu przebywającego w Londynie, do dowódców oddziałów sowieckich wkraczających na ziemię polską, w celu nawiązania kontaktu i współdziałania w walce z wspólnym niemieckim wrogiem — bez żadnej jednak rezygnacji z naszych praw państwowych i międzynarodowych. Los ich oficjalnie w ogromnej większości wypadków jest nieznan. W ogromnej większości — to znaczy dotąd wszystkich — z wyjątkiem jednego tylko polskiego oficera, który nawiązał kontakt i wszedł w rozmowy z dowódcą sowieckim w rejonie Łucka. Nieoficjalnie los ten jednak jest znany i wzbudził takie zanie-

pokoje nawet w rządzie polskim, że ten wysłał odpowiednie noty do rządów brytyjskiego i amerykańskiego z prośbą „o pomoc w zapobieganiu wszelkim wypadkom, które by uniemożliwiły współdziałanie i dalszą wspólną walkę z Niemcami,” jak to formułuje Dziennik Polski z 5 b.m.

Czy to ma znaczyć, że „wypadki” te — pozostające w związku z osobami polskich emisariuszy — zaszyły tak daleko, że już żadna restytucja jest niemożliwa? Gdyby bowiem stało się coś nieodpowiedzialnego, co by można było jeszcze naprawić i odwrócić, to prośba o interwencję w tym chyba tylko kierunku iśćby mogła.

Niestety, *Dziennik Polski* dla Polaków tylko drukuje te złowróżbne słowa, natomiast oficjalna polska służba informacyjna rozpowszechnia w prasie anglosaskiej wiadomości, że wszystko jest jak najlepiej, gdyż doszło do porozumienia oddziałów polskich na Wołyniu z Dowództwem Armii Czerwonej, że więc cały konflikt sowiecko-polski właściwie zakończył się *de facto*, a lada chwila można się spodziewać i zakończenia *de iure*.

Dziennik Polski dał wyraz swoim niepokojom już w dniu 5 kwietnia, w dniach zaś 9, 10 i 11 kwietnia prasa londyńska rozbrzmiewała radosnymi wiadomościami, że idzie ku likwidacji sporu sowiecko-polskiego, bo oto — jak koła polskie informują — doszło już do ułożenia warunków współpracy militarnej.

The Observer z 9 kwietnia tak relacjonuje o tej ugodzie:

„Wydaje się, że z początku były pewne tarcia. Miejscowi dowódcy sowieccy zażądali od oddziałów podziemnych pozostających pod rozkazami z Londynu, ażeby odstąpiły od wierności Rządowi Polskiemu i przyłączyły się do wojsk polskich, formowanych w Rosji pod generałem Berlingiem.

„Później jednakże żądanie to zostało porzucone. W dniu 26 marca dowódca polski na Wołyniu nawiązał kontakt z dowódcą wojsk sowieckich, które zdobyły Łuck i otrzymał od niego treść warunków współpracy, przysłanych z Moskwy.

„Warunki te są czysto wojskowe i nie zawierają żądań politycznych, które by Polaków narażały na konflikt wierności”.

Sunday Times z tej samej daty tak streszcza przekazane mu te same polskie wiadomości:

„Dowódca sowiecki oświadczył, że oddziały podziemne muszą być rozwiązane, gdyż nie mogłyby być tolerowane z tyłu za liniami rosyjskimi, ale gdyby się przeorganizowały w polską dywizję pod dowództwem sowieckim mogłyby dochować wierności naczelnemu wodzowi i rządowi polskiemu w Londynie”.

„Dowódca polski natychmiast nawiązał łączność z przedstawicielami swojego rządu w Polsce, a ci mu powiedzieli, ażeby przyjął propozycje sowieckie i współpracował tak ściśle jak tylko to możliwe z wojskami rosyjskimi”.

„Sprawa przedłożona została Gabinetowi polskiemu w Londynie, który przedyskutował ją na specjalnym posiedzeniu we czwartek i dał swoje błogosławieństwo proponowanemu układowi. Ambasador polski w Londynie przekazał wczoraj Rządowi brytyjskiemu szczegóły układu, a Rząd amerykański podobnie został poinformowany”.

„Jest nadzieja, iż układ będzie punktem zwrotnym w stosunkach sowiecko-polskich,

Jeżeli współpraca w Polsce rozwinie się, powinna ona doprowadzić do ogólnego polepszenia stosunków między obu krajami”.

Przytoczyliśmy dwa głosy z najpoważniejszych pism londyńskich, żeby dać czytelnikom zestawienie z informacjami *Dziennika Polskiego*. Pismo to nie przytoczyło ani tych głosów, ani podobnych z dni następnych a natomiast w dniu 12 kwietnia opublikowało artykuł wstępny p.t. —

„Niepokojące milczenie,” w którym stwierdza, że oprócz tego jedyne wypadku pod Łuckiem nadal nie tylko nie ma wiadomości o losie innych licznych emisariuszy oddziałów polskich wysłanych do Armii Czerwonej, ale nawet co więcej: „krążące wiadomości o ich losie budzą wśród nas poważny niepokój.”

Więc jeżeli jest tak źle, dlaczego informuje się Anglików i Amerykanów, że jest tak dobrze? Kto to w Rządzie polskim robi? I co ma na celu? Nie wątpimy, że rządom alianckim udziela się przynajmniej informacji prawdziwych, kto jednak informuje szkodliwie prasę i opinię? Czyżby to te same czynniki, których „zasługą” jest, że *Daily Worker* jest najrychlej informowany o zdarzeniach wewnętrznych w rządzie polskim. A któż będzie rząd ten traktował z zaufaniem, jeżeli nie będzie pewny dyskrekcji i poufności?

Wreszcie, w czym interesie jest przedstawianie rokowań pod Łuckiem, jako zdarzenia pomyślnego politycznie? Oddziały polskie, które by współpracowały przy okupacji terenów polskich na rzecz potencji sowieckiej, nie muszą — z punktu widzenia tej potencji — podlegać Berlingowi. Istotne jest jaką rolę spełniają. Gdyby rząd polski zgodził się odgrywać rolę Berlinga, Berling byłby niepotrzebny. Więc nie byłaby sukcesem taka ewentualnie dywizja polska, która by teoretycznie podlegała prawowitym władzom polskim, a faktycznie byłaby wyrazem zgody polskiej na fakty dokonane. Taki jest sens układów rzekomo czysto militarnych, jeżeli nie są one poprzedzone sensownym układem politycznym.

Więc społeczeństwo polskie z niepokojem czeka na wiadomości o losie mężnych i tragicznych naszych emisariuszy, na odsłonięcie tajemnicy wołyńskiej, i z niedobrymi przeczuciami w sercach czeka również na odkrycie tajemnicy londyńskiej, na odkrycie tych kół urzędowych polskich, które każdą wiadomość z Kraju dla zagranicy i z zagranicy dla Kraju gmatwają i przeinaczają dla niewiadomo jakich celów.

WOJSKO BERLINGA

Na temat tak zwanych polskich dywizyj w Rosji Sowieckiej ukazały się ostatnio dwie obszerniejsze informacje w londyńskim *Times*. Obie pochodzą od moskiewskiego korespondenta tego pisma. Jedna z nich ma formę artykułu (*Times*, 17 kwietnia 1944) i zawiera informacje i opinie nie tylko o wojsku Berlinga, ale w ogóle o Polakach w Rosji. Przytaczane są cyfry dzieci polskich w Rosji, a mianowicie, że 16 tysięcy polskich dzieci znajduje się w 200 egzystujących polskich szkołach i ogródkach dziecięcych, a oprócz tego w 50 sierocińcach znajduje się „od 4 to 5 tysięcy dzieci.” Innych cyfr artykuł nie podaje.

Głównym wątkiem artykułu jest współpraca polityczna naszych wygnanców w Rosji z rządem i polityką Związku Sowieckiego. Teraz wychodzi i coraz bardziej na jaw wychodzić będzie, jaką zbrodnię popełnił rząd polski w Londynie, nie publikując w swoim czasie materiałów i dokumentów dotyczących okupacji sowieckiej w Polsce i losu ludności deportowanej w głąb Związku Sowieckiego.

Okazuje się bowiem, że Sowiety chcą prowadzić wobec Polski jakąkolwiek politykę, muszą stwarzać choćby pozory obiektywizmu w traktowaniu zagadnień polskich. Pozory, te przedstawione są światu jako rzeczywistość, która jest przecież zupełnie inna. Dzisiaj kiedy czynniki sowieckie ogłaszają choćby fragmenty tylko cyfr, czas już ostatni, żeby rząd polski ogłosił dokumenty, przedstawiając prawdziwy stan rzeczy.

Korespondent *Times'a* twierdzi, że 80% Polaków w Rosji popiera działalność t.zw. Związku Patriotów w Moskwie i wymienia pięć osobistości, stojących na czele tego ruchu: Wandę Wasilewską z Polskiej Partii Komunistycznej, Andrzeja Witosa, przed stawianego jako członka Komitetu Wykonawczego "Partii Chłopskiej", Bolesława Drobnera "socjalistę", Berlinga z "Partii Piłsudskiego" i "Narodowego Demokrate", Grumowskiego, dobrze znanego inżyniera". Cztery z tych osób dobrze są znane i "Myśl Polska" nie potrzebuje rysować ich sylwetek, co się zaś tyczy Grumowskiego, to nazwisko i osoba są nieznanne. W Stronictwie Narodowym w Polsce nie było żadnego Grumowskiego, ani żadnego inżyniera Grumowskiego.

Bardziej szczegółowe informacje, tylko o wojsku Berlinga, znajdują się w dłuższej notatce informacyjnej w *Times* z 11 kwietnia. Cytujemy z tej notatki kilka zdań:

"General Berling ma teraz pod swoim dowództwem trzy całkowicie wyszkolone dywizje piechoty, brygadę czołgów, kilka baterii artylerii ciężkiej i pułk lotniczy. Jako materiał na tę siłę general Berling, oficer materiałowy o długiej służbie, miał przede wszystkim Polaków z odległych okolic Związku Sowieckiego, posłanych (sent) tam w 1939 r. Polacy ci byli cywilnymi uchodźcami przed najazdem niemieckim, których nie uważano za konieczne poprzednio przenieść do oddziałów Generala Andersa, albo których zgłoszenia do tych oddziałów zostały odrzucone z powodów politycznych. Inni przyszlizli ze społeczności polskich Żydów z zachodniej Ukrainy.

"Ostatnio można było czerpać także z deserterów z wojska niemieckiego, z uciekinierów przed niemieckim terrorem w Polsce, z jeńców wojennych oraz mieszkańców powiatów oswobodzonych na Ukrainie i Białej Rusi".

W wymienionym zaś wyżej artykule z 17 kwietnia ten sam korespondent pisze: "Może najlepszym przykładem czynnego patriotyzmu jest postawa tych wielu Polaków, którzy choć długo zamieszkałi w Związku Sowieckim i w wielu wypadkach zrodzeni tu z polskich rodziców, otrzymali pozwolenie wstąpienia do polskiego wojska."

W sumie, w wojsku Berlinga przeważają prawdopodobnie prawdziwi obywatele sowieccy z przed wojny, którzy znaleźli się w nim dla celów polityce sowieckiej dobrze znanych.

KREML I WATYKAN

Redaktor dyplomatyczny *Sunday Times* z 9 kwietnia donosi, iż premier sowiecki p. Stalin poinformował rządy brytyjski i amerykański o głównych punktach manifestu do Polaków, który zamierza wydać po przekroczeniu przez wojska sowieckie t.zw. linii Curzona w Polsce. M.i. w manifestie tym ma być apel "do kierowników Kościoła Rzymsko-Katolickiego, zapewniający im pełną swobodę w załatwianiu ich spraw i wzywający ich do poparcia walki ze wspólnym wrogiem."

Wobec takich zamiarów sowieckich odnotować warto inne wystąpienie kół sowieckich wobec Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Mamy tu na myśli artykuł w organie moskie-

wskim *Izwestia*, który to artykuł nie został dokładnie przedstawiony w prasie brytyjskiej, my zaś czerpiemy wiadomości o nim z prasy amerykańskiej z początku lutego b.r. Z prasy tej wynika, że oficjalne pismo sowieckie ostro zaatakowało Stolicę Apostolską o popieranie faszyzmu we Włoszech, Hiszpanii i Francji, miotając przy tym obelgi, iż "zasłużył (Watykan) na nienawiść i pogardę włoskiej ludności". *Izwestia* oświadczyły też, że popierają opinię wyrażoną w raporcie *American Foreign Policy Association*, iż we Włoszech narasta fala antyklerykalizmu, a komentując dodają, że jak w poprzedniej wojnie tak i w obecnej polityka Watykanu wywołała tylko wielkie rozczarowanie katolików na całym świecie. "Poniżająca rola, jaką odegrał Watykan w Hitlera i Mussoliniego hiszpańskiej awanturze, jest szeroko znana" — pisały *Izwestia*. Artykuł atakował też Stolicę Apostolską za Pakt Lateraneński w 1929 r. oraz za rzekome poparcie podboju włoskiego w Abisynii, a także za milczenie w chwili wstąpienia Włoch do wojny i za uznanie następnie rządu Petaina w Vichy. Autor artykułu zatakował wreszcie apel Papieża Piusa XII wygłoszony na ostatnie Boże Narodzenie, mówiący o "bezszyjnej miłości do wszystkich narodów." Bolszewicki pisarz oskarża Papieża, iż Watykan nie przekreślił teraz tego, że "popierał faszystowskie państwa a sankcjonował zniszczenie innych".

Żeby obraz polityki Kremla wobec Stolicy Apostolskiej i katolicyzmu w ogóle był już całkowi, zanotować trzeba także ostatnie wystąpienie prawosławnego Patriarchy moskiewskiego Sergiusza w jego "Cerkiewnych Wiadomościach" w artykule p.t. "Czy jest Namiestnik Chrystusa na ziemi". Patriarcha Sergiusz rzucił wyzwanie Stolicy Apostolskiej w sferze zagadnień religijnych, podnosząc starą tezę schizmy wschodniej, iż wobec mistycznego małżeństwa Chrystusa z Kościołem jakiś "pośredniczący Namiestnik Chrystusa na ziemi jest w ogóle nie dopomyślenia." Patriarcha moskiewski oświadczył też, że unia z Kościołem Rzymsko-Katolickim na zasadzie podległości Papieżowi jest niemożliwa, a że natomiast najlepsza by była unia, która by wprowadziła instytucję Powszechnego Soboru Biskupów z wybieralnym Prezydentem na czele.

Proklamowanie starych tez prawosławia w tym artykule nie ma tu, naturalnie, takiego znaczenia, jak fakt, że artykuł ukazał się po artykule w *Izwestiach* i że atakuje Stolicę Apostolską. Słusznie pisze redaktor dyplomatyczny *Observera* z 16 kwietnia, że Patriarcha moskiewski niezwykle chętnie oddaje sowieckiemu Cezarowi to "co jest jego" i że na tle obu artykułów pogłoski o Konkordacie sowieckim ze Stolicą Apostolską nie mają żadnych cech prawdopodobieństwa.

Dla ścisłości kronikarskiej można tu wspomnieć, że pogłoski o takim Konkordacie rozpowszechniał w kołach urzędowych polskich dyrektor PAT'a p. Litauer dla celów wiadomych przede wszystkim jemu i tym, którzy mu wydają instrukcje.

I nam.

KOMUNISCI W EUROPIE

Pod tym tytułem zamieszcza dobrze o tych sprawach poinformowany *Daily Worker* z 13 kwietnia gładko zredagowane sprawozdanie pióra p. Williama Rusta. Samo już wyliczenie pozycji komunistycznych w Europie pozwala na zorientowanie się, jak ogromne szanse dał komunizmowi ten głupiawy geniusz niemiecki Hitler przez wywołanie wojny i niemieckie barbarzyństwo.

P. Wiliam Rust notuje, że po raz pierwszy

komuniści są w rządzie francuskim (Komitecie de Gaulle), że czują się co raz mocniej w Jugosławii, że zaczynają wywierać wpływ zasadniczy w Grecji i we Włoszech, że spodziewają się zająć "kierownicze stanowiska" w Czechosłowacji. P. Rust wyrażnie też daje do zrozumienia, że najsłabszy jest ruch komunistyczny w Polsce.

"Lud polski — pisze angielski komunista — sam wypracuje sobie swoje przeznaczenie. Powoła on własny swój rząd i da władzę tym w których pokłada zaufanie. Jaką rolę będą w tym rządzie odgrywali komuniści nie jest jeszcze dziś widoczne. Będzie to rola odpowiedzialną za skutki oddaniem w walce o wyzwolenie kraju."

Jest w tej charakterystyce nutka: "starajcie się chłopcy, zarobicie dobrze," ale jest też refleks iż Polska Partia Komunistyczna była zawsze tak marną organizacją, iż ją w 1938 r. Komintern moskiewski rozwiązał, substytuując następnie nieufnym Polakom produkty kamuflażowe w rodzaju Polskiej Partii Robotniczej w Polsce, bez żadnych wpływów — i Związek Patriotów Polskich w Moskwie.

Ciekawe również jest stwierdzenie, że komuniści weszli wszędzie na arenę polityczną w Europie "nie zmieniając swoich zasadniczych przekonań; nie ukrywając bynajmniej swoich celów społecznych i swojej determinacji do przekształcenia społeczeństwa i osiągnięcia ostatecznego tryumfu socjalizmu."

P. Wiliam Rust ma się czym pochwalić. Ostatnie tygodnie zwłaszcza przyniosły potwierdzenie jego informacji o aktywizmie komunistów w Europie. Jest to nie tylko aktywizm podziemny, ale duży udział również w polityce międzynarodowej. Daje on efekty w postaci przesuwania wpływów w Europie z kół anglosaskich w komunistyczne. Ostatni kryzys w Grecji wysuwa tam politycznie coraz bardziej na plan pierwszy nie bardzo liczną, ale niesłychanie dobrze zorganizowaną grupę komunistyczną. Również we Włoszech komuniści objęli stanowczo pierwsze miejsce. Delegat sowiecki do Komisji Śródziemnomorskiej, p. Wyszyński, oświadczył, jak informuje *Times* z 17 kwietnia, na konferencji prasowej, iż nowy rozwój stosunków politycznych wewnętrznych we Włoszech jest wynikiem inicjatywy sowieckiej.

Pod jednym tylko względem p. Rust nie ma racji: kiedy twierdzi, że tak znaczny wzrost wpływów komunistycznych jest wyłącznie ich własną zasługą. Nie jest tak. W wielu wypadkach ruch komunistyczny umiał tylko zręcznie wykorzystać dla własnych celów sytuację stwarzaną siłą i zasobami Aliantów bynajmniej nie w celu popierania komunizmu.

POMOC AMERYKI DLA SOWIETÓW

Już w poprzednim N-rze "Myśli Polskiej" — 5 kwietnia 1944 — pisaliśmy w artykule "Z amerykańskiej perspektywy" o ofercie Związku Sowieckiego złożonej przemysłowi amerykańskiemu na dostawę dóbr wartości 3 miliardów płatnych przez Rosję w złocie. Tak się złożyło, że pierwsza wiadomość o tej transakcji przyniosła w Zjednoczonym Królestwie "Myśl Polska." "Daily Telegraph" podał ją w dniu 11 kwietnia, *Observer* w dniu 16 kwietnia. Pisaliśmy też, jaki wpływ transakcja tego rodzaju wywrzeć może na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza gdy Administracja Prezydenta Roosevelta na niej opiera swój plan przejścia kraju z produkcji wojennej na produkcję pokojową i zatrudnienie w niej milionów zdemobilizowanych żołnierzy.

Szczegóły dokonanej transakcji podaje *Observer*, nie informując zresztą o pogłoskach krążących w Stanach Zjednoczonych, że oferta złożona została w czasie Konferencji Teherańskiej. Umowa zawarta została między Rządem Sowieckim z jednej i szeregiem firm prywatnych amerykańskich z drugiej strony, bez żadnego bezpośredniego udziału Rządu Stanów Zjednoczonych. W ten sposób oferta stała się jakby podarkiem Prezydenta Roosevelta dla świata wielkiego *businessu*, co może mieć znaczny wpływ na wybory prezydenckie w tym roku. Transakcja oparta jest na kredycie, którego udziela Sowietom grupa banków amerykańskich. Wysokość kredytu wynosi dwa i pół biliona (bilion w Ameryce przyjęty został na oznaczenie liczby nazywanej w Europie miliardem) dolarów, a sumę tę Sowiety otrzymają w produktach przemysłu amerykańskiego. Eksport ten na wielką skalę ma się zacząć po wojnie, pierwsze jednak zamówienia już zostały poczynione i pierwsze dostawy, na mniejszą skalę, mają się zacząć wkrótce.

Informacje prasy nie podają, w jaki sposób kredyt ten ma być splecony, więc nie wiemy czy pogłoski o spłacie złotem mają jakąś pewniejszą podstawę. Naturę tego eksportu podaje *Daily Telegraph*, który mówi o dostawie urządzenia dla całych ośrodków energetycznych, następnie obrabiarek i innych narzędzi produkcji, dalej środków komunikacyjnych transportowych (50 tysięcy wagonów i trzy tysiące lokomotyw) i teletechnicznych. *Observer* dodaje do tej listy traktory, wyroby chemiczne oraz pewną ilość dóbr konsumpcyjnych. Z tabeli tej wynika wyraźnie, że Rosjanom chodzi przede wszystkim o odbudowanie i rozbudowanie swojej własnej produkcji, co zresztą jest zgodne z polityką ekonomiczną i dobrze zrozumianym interesem własnym, sowieckim.

Ciekawe, że Rosjanie proponowali wysokość kredytu, i eksportu zarazem, na pięć bilionów dolarów, otrzymali zaś połowę tego. Z drugiej jednak strony w Moskwie dają do zrozumienia, jak informuje specjalny korespondent *Observera*, że skłonni są do dalszego rozbudowania stosunków handlowych.

Z punktu widzenia polityki ekonomicznej i polityki ogólnej nie można nie ocenić jak najwyższej zręczności dyplomatycznej Rosjan, którzy nie tylko otrzymują pomoc ekonomiczną od Ameryki na tak dużą skalę, ale też zapewne nie omieszkają argumentować, że to oni w ten sposób pomagają Ameryce, przyczyniając się do zmniejszenia bezrobocia po wojnie.

Równocześnie *Sunday Times* donosi o rozmowach handlowych anglo-sowieckich i o pobycie ekspertów sowieckich w W. Brytanii, badających możliwości czynienia tu zakupów dla przemysłu sowieckiego tych samych produktów, które obejmuje umowa sowiecko-amerykańska.

WEWNĄTRZ SPRAW POLSKICH

Z objawów zbiorowego życia polskiego na emigracji zanotować należy zebranie publiczne urządzone przez Stronnicwo Narodowe w dniu 5 kwietnia 1944 w Westminster Cathedral Hall w Londynie, z przemówieniem Dr. Tadeusza Bieleckiego, Prezesa Zarządu Głównego Stronnicwa Narodowego. Duża sala zebrań katolickich wypełniona była całkowicie publicznością polską (dobrze ponad 500 osób) z kół Stronnicwa Narodowego jak i z innych środowisk polskich politycznych i społecznych. Okoliczność to bardzo znamienna tak ze względu na Stronnicwo Narodowe, które znajduje się w jawnej i konsekwentnej opozycji politycznej do rządu polskiego

w obecnym jego składzie i przy obecnej polityce, jak też i z tego powodu, że koła rządowe starały się dyskretnie ale niemniej bardzo aktywnie zebraniu przeszkadzać.

Przemówienie Prezesa Bieleckiego podajemy na pierwszych stronach niniejszego wydania *Myśli Polskiej* w obszernym streszczeniu. Zebrani wielokrotnie zaznaczyli w sposób na zebraniach przyjęty swoją aprobatę i zrozumienie wywodów i ocen Prezesa Bieleckiego.

Zebrane zagail i następnie zamknął krótkimi przemówieniami Profesor Władysław Folkierski, Prezes Rady Naczelnej Stronnicwa Narodowego.

Oświadczył on m. i. :

“Niech mi wolno będzie na tym miejscu, w Hali Westminsterkiej, powołać się na ducha wielkiego Anglika, Kardynała Hinsleya, który właśnie tutaj, w tej sali, był gospodarzem, a który pierwszy oświadczył, że *testem* spraw, o które wojna się toczy, testem sprawiedliwości dziejowej, testem skuteczności tej wojny, testem rzetelności tych ofiar i sumienia alianckiego — jest sprawa polska. I tutaj, właśnie w tej sali, słowa te brzmią w naszej pamięci donioślej, niż gdziekolwiek indziej.”

W zakończeniu Profesor Folkierski szczególnie uwypuklił, że “nic nie słycać o tym, żeby nawet Niemcom groziła utrata połowy terytorium, — a natomiast stosuje się te metody do alianta, alianta wypróbowanego, który do niedawna był uważany za “natchnienie aliantów” — i słów tych nie odwołano.”

Odsławianiem Hymnu Narodowego zakończono to piękne zebranie, które obyło się początkiem przemiany w postawie emigracji wojennej polskiej wobec konieczności wzmożenia wysiłków dla ratowania Sprawy Polskiej.

Co się tyczy przeszkadzania ze strony rządowej, m. i. sam Rząd zainteresował się zagadnieniem: można czy nie można zamieścić w *Dzienniku Polskim* komunikat lub płatne ogłoszenie o zebraniu urządzanym przez Stronnicwo Narodowe. Po wielu bowiem rozmowach z Administracją, potem zaś Redakcją *Dziennika* i następnie urzędnikami Ministerstwa Informacji, jeden z tych ostatnich zakomunikował organizatorom zebrania, iż *Rząd Rzeczypospolitej zdecydował — ogłoszenia nie zamieścić!* Wynika stąd jasno, jakim niebezpieczeństwem Rząd poświadcza uwagi i energii najwięcej oraz jak pojmując zasady demokratyczne w praktyce. W każdym bowiem przyzwoicie demokratycznym ustroju te instytucje rządowe, które mają charakter monopolu, a które służą informacji, oddawane są do dyspozycji zarówno rządowi jak i kół ścierających się z rządem w ramach legalnych. Tak jest z B.B.C., tak powinno być z *Dziennikiem Polskim*, gdyby minister Kot i redaktor Szerer mieli więcej kultury politycznej. Odtąd już nikt nie będzie mógł powiedzieć społeczności polskiej w W. Brytanii, że ma swój dziennik, bo *Dziennik Polski* służy tylko partiom rządowym, ale nie całości społeczeństwa polskiego w W. Brytanii.

STRATOŃSKA DEMOKRACJA

Doprawdy, nie można znaleźć zbyt surowych określeń na scharakteryzowanie poziomu politycznego urzędowego *Dziennika Polskiego*, redagowanego od pewnego czasu przez p. Szerera, adwokata z Warszawy doczepionego do zespołu redakcyjnego b. *Dziennika Żołnierza*. Spółka ta nie okazuje się bynajm-

niej bardziej fortuna od poprzednich redakcyj, zwłaszcza gdy firma SZERER and Co. okazuje się co raz więcej Szerer, a coraz mniej Co. W *Dzienniku* różne są działy i na różnym poziomie, redaktor jednak naczelny odpowiada za wszystko. Prawdopodobnie w p. Szererze, który jest najlepszym publicystą wśród adwokatów i najlepszym adwokatem wśród publicystów, zwyciężył ostatecznie adwokat, który podejmuje się obrony bądź jakich spraw, byle interes siedł. Może także tak być, że p. Szerer tylko nastawia się męźnie za p. Kota i np. Banaczyka, ale też w takim razie z pogodą ofiary złożonej na całopalenie przyjmować zapewne będzie zasłużone razy.

Otóż felieton w *Dzienniku Polskim* z 15 b.m. pod tytułem “Zdrowie amerykańskie” jest nie na poziomie Warszawy, ale Peczenizyna, to znaczy poniżej nieszczęsnej dzisiaj Kolomyi. Może to jest zresztą tylko poziom Stratonu, co od pewnego czasu w przysłowia polskie musi znaczyć to samo.

Mianowicie autor felietonu podpisany literami *Pbl.*, co jest zapewne skrótem słowa *publicysta*, pisze o wystąpieniu politycznym Generała Mac Arthura (odpowiedź na list członka Izby Reprezentantów Millera) co następuje :

“General w czynnej służbie — i to nie byle jak czynnej, skoro chodzi o dowódcę całego ogromnego frontu — mieszający się do kampanii wyborczej, która wzburza opinię kraju prowadzącego wojnę — to zjawisko jak najbardziej sprzeczne z podstawowymi pojęciami demokracji. Dla generałów nie ma miejsca w polityce. Polityka w państwie demokratycznym musi być jak najbardziej rozebrana z mundurów wojskowych”.

“Zjawisko jak najbardziej sprzeczne . . . ?” Może sprzeczne z zasadami demokracji wykładanej w Peczenizynie i w Stratonie, ale nie w Stanach Zjednoczonych, które są kolebką nowoczesnej demokracji. Nie jest wcale istotą demokracji odbieranie praw obywatelskich wojskowym. Natomiast jedną z zasadniczych cech demokracji jest podział funkcji, personalny i polityczny: *que le pouvoir arrête le pouvoir*, a to w tym celu, żeby jedna klika (np. Kot, Szerer, Litauer) czy to bezpośrednio, czy to przez ludzi sobie oddanych (np. Mikołajczyk, Banaczyk, Modelski) nie obsadziła wszystkich instytucji państwowych. Adwokat Szerer nie dostrzegając tej najbardziej demokratycznej zasady, kiedy Sikorski był premierem i naczelnym wodzem, a teraz redaktor Szerer pozornie celując w MacArthura, chce bez żadnych nawet pozorów ugodzić w kogo innego.

Ale czy *publicysta* stratoński czytał czy nie czytał jeszcze w gimnazjum, że pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych był zwycięski naczelny wódz George Washington? I że był wybierany nawet dwukrotnie? I że także dwa razy prezydentem był *general* Andrew Jackson? I również dwa razy *general* Ulysses S. Grant. A byli to, *nota bene*, generałowie nie od zielonego biurka, ale z pola walki, jak to najbliższy p. Szererowi historyk wojskowy przyświadczy.

Śmieszna jest ta troska stratońska o demokrację w Ameryce. Lepiej bronić panowie demokracji w Stratonie, bo rychło ją psi zjedzą. Osobliwa to byłaby demokracja w której *general* zasłużony w bojach miałby mieć skrupowane osobiste prawa obywatelskie na rzecz absolutnej swobody ruchów Szererów Litauerów i Retingerów.

JERZY PIETRKIEWICZ

OJCIEC POEZJI ULATWIONEJ*

(Heine)

(... "meine kleinen malicioes-sentimentalen Lieder" H. H., 24 Dez. 1822).

TAK długo i banalnie walczone o imię Heinego w ciągu ubiegłego stulecia, że wreszcie przyszedł właściwy czas do oceny jego utworów bez dziennikarskiej przesady i osobistych uprzedzeń.

Jedno istotne pytanie, zagłuszone jazgotem polemicznych utarczek, powstaje teraz na nowo i zmusza krytyka do odpowiedzi: czy był właściwie Heine prawdziwym poetą? "Twórcy" jego popularności używali tych samych środków propagandowych, które przedtem wyostrzyli w walce o Byrona. Bronili mianowicie charakteru Heinego, jego życia prywatnego, nazywali go z uwielbieniem, które nie znało miary i smaku: bojownikiem wolności, przywódcą ludu, prorokiem nowej epoki i t.d.

HEINE I BYRON

Każda książka zarówno o Byronie jak i o Heinem zajmuje się więcej skandalami i skandalikami ich życia, niż charakterem i znaczeniem ich poezji. Trudno wprost uwierzyć, ale tak jest naprawdę, że nie ogłoszono w języku angielskim ani jednego choćby *essay'u*, któryby traktował jedynie o elementach czystej byronicznej poezji. Tak samo wrogowie i wielbiciele Heinego celowali albo w bezlitosnych atakach albo w heroicznej obronie jego filozofii życia, politycznego credo i moralnych upadków. Mówiono o poezji Heinego albo z entuzjazmem bezkrytycznego fanatyka albo ze świętym oburzeniem mieszczańskiego hipokryty.

W istocie rzeczy wielka jest różnica między Heinem i Byronem, nawet gdy rozważa się jedynie ich karierę literacką. Nigdy nie można bowiem wątpić w wielkość Byrona, natomiast gdy chodzi o miejsce Heinego w poezji — przyznać trzeba — nie jest ono oparte na mocnych fundamentach. Jeśli pozbawimy jego poezję politycznego i patologicznego osobistego tła, wystawimy ją tym samym na wszystkie możliwe ataki czasu i mody, obezwładniając jej ducha, paraliżując każdą obronę. Zdaniem moim, liryka Heinego nie jest na tyle silna, żeby przeżyć jakąkolwiek operację estetyczną.

I ogarnia krytyka nagle zdumienie, kiedy przekonyuje się jak łatwo w gruncie rzeczy rozbroić poezję Heinego i ukazać ją światu w nowym świetle, łatwą i nieszkodliwą jak zabawkę.

* Patrz szkic pt. "Poezja ulatwiona" w Nr. 58 "Myśli Polskiej" z dnia 15 listopada 1943.

Nieaktualność tematu jest tu tylko pozorna. Czytelnik polski powinien przyłożyć schemat tego szkicu do t.zw. "skamandryckiej" poezji polskiej, w której obok wczesnych poetów bolszewickich Heine zajmuje miejsce mistrza.

Mój pogląd na polskich poetów "ulatwionych", jest dość zdecydowany i niezbyt pochlebny. Nie mogę się bowiem pogodzić z myślą, żeby mali epigoni mogli być lepsi od epigona — mistrza.

Tym szkicem pragnę równocześnie zaznaczyć, że z dwójką złego, jeśli mam już czytać epigonów to wybrałem epigona dużej klasy, choć — przyznaję — i on bardzo mnie wynudził.

Każdy dowcip z "Don Juana" potrafi rozsądzić świat jak dynamit, jeśli tylko właściwie jest zrozumiany. Wielkość bowiem Byrona polega na tym, że mechanizm jego liryki jest nie do wykrycia, nie do odgadnięcia. Można powtórzyć tę prawdę w odniesieniu do każdego wielkiego poety. Nie tyczy się ona natomiast Heinego. Ciekawa ręka dziecka zdolna jest wyjąć prosty mechanizm z jego liryki jak z zabawki, rozebrać, rozłożyć na kółka i trybiki i wreszcie, jeśli fantazja dopisze: złożyć coś nowego z tych samych elementów. Łatwość naśladowstwa stanowi właśnie istotę tego typu poezji.

Dziewiętnasty wiek naśladował styl życia Byrona. W wypadku Heinego naśladowano tylko jego lirykę — i to z zadziwiająco doskonałymi rezultatami. Imitacje były często lepsze od oryginału.

MIESZANINA KOMIZMU I SMUTKU

Nie interesuje nas tutaj wcale Heine — człowiek. Dlatego będziemy tylko rozważać te fakty z jego życia, te rysy jego charakteru, które pozostają w jakimkolwiek związku z owym "mechanizmem" jego sztuki.

Lirykę Heinego można określić jako mieszanie dwu elementów: komizmu i smutku. Zgodne to jest zresztą z opinią większości krytyków. Sam wyraz "mieszanina" nie brzmi pochlebnie i wskazuje na słabość talentu.

Czy jednak "Don Juan" nie jest także mieszanią i to mieszanią tych samych elementów?

Nie. Byron to mistrz kontrastów, takich kontrastów, których pomieszać z sobą nie można. To co nazywamy "smutnym" u Heinego, jest "tragicznym" u Byrona. Nawet w latach choroby, w latach nadludzkich cierpień nie napisał Heine ani jednej prawdziwie tragicznej linijki.

Człowiek jest wtedy tragiczny, jeśli uginając się pod ciężarem wszechświata, obarczony jego krzywdą, idzie tym odważnie prosto przed siebie, naprzeciw śmierci. Tragiczna poezja jest w takim samym stopniu osobista jak gwiazdy, księżyc i słońce.

Heine zaś był zawsze osobisty (i egoistyczny) i zawsze w najbardziej prostym, banalnym sensie. Heine znajdował się poza wszelkimi odczuciami metafizycznymi. Jego epikureizm kazał mu często cierpieć właśnie dlatego, że nie był w stanie wprowadzić tej teorii praktycznie w życie, ażeby cieszyć się nim w każdej dziedzinie, żeby każde zjawisko, każde zdarzenie niesło z sobą jeśli nie rozkosz, to choćby przyjemność. Jest więc dla nas Heine jedynie smutny. Smutek to osobliwość, który nie ma na tyle siły, aby śmiejącemu się czytelnikowi oczy wypełnić łzami.

Nie szukajmy u Heinego humoru. Nie ma go tam wcale. Wiele jego utworów jest wprawdzie komicznych, wiele zostało napisanych z myślą rozbrojenia przez satyrę niezliczonych wrogów poety. Żaden z nich jednak nie ociera się o prawdziwy, czysty humor, który istnieje i rozwija się bez osobistej irytacji, bez praktycznego celu, który tak jak u G. K. Chestertona wstrząsa niebem

i ziemią w ogromnym kosmicznym śmiechu. Ten właśnie kosmiczny aspekt humoru jest Heinemu zupełnie nieznamy.

KWIATY I ŁZY

Forma zdradza treść. Ograniczona natura poetycka Heinego, która daje czytelnikowi komizm i smutek jako "ersatz" humoru i tragizmu, wyraża swoją ubogość także i w wyborze tematów, w budowie zwrotek, w językowych *idiomach*, w metaforach i rytmie. Spróbujmy ułożyć słownik liryczny Heinego z "Lyrisches Intermezzo" lub z "Heimkehr", które są tak popularne i typowe dla twórczości poety, spróbujmy zestawzić jego ulubione wyrazy, a przekonamy się jak łatwo o banal: kwiaty, maj, słowik, lilia, gołąb, lzy, ból, tęsknota, kwiat lotosu, — a potem: błąd, błękitny, kwitnąć i całować.

Te słowa znajdują się niemal na każdej stronie, powtórzone co kilka linijek; nagromadzenie jednoznacznych w atmosferze obrazów powoduje nudę o mdło słodkim smaku, tak że należy się zgodzić z krytykiem, który powiada: "nazwy tych rzeczy mają tylko dla poety konwencjonalne znaczenie nastrojowe".

Wiemy, że serce czasem boli, ale — jak i dlaczego? Oto pytanie dla poety. Poeta musi każde uczucie "udowodnić", usprawiedliwić stylem wypowiedzi. Wiemy także, że kwiaty są piękne i że pachną, że lzy lśnią w płaczących oczach; tym nie mniej pytamy autora: jakie kwiaty, jakie lzy i w czyich oczach?

Kwiaty i lzy Heinego nie reprezentują przeżyć. Ozdabiają jedynie jego cukierkową poezję konwencjonalnymi dekoracjami.

Heine próbował naśladować rytm Muellera, czego dowodem najlepszym rytm "Intermezzo". Sądził on, że przez to właśnie da swoim pieśniom autentyczną barwę i dźwięk folkloru. Ale symbole ludowej wyobraźni wyrastają zawsze z rzeczywistości. Są świeże, mocne i barwne, ponieważ żyją w poezji jako obrazy prawdziwych przeżyć.

Chłop nie zna w naturze kwiatów pojętych jako abstrakcje; przeciwnie, różnicuje je i cieszy się ze stałej świadomości istniejących między nimi różnic. Chłop nie zna kwiatów, ale zna maki, kankole, jaskry, modraki i niezapominajki; chłop zna ich kolory i nazwy, wie, kiedy kwitną, jak rosną wysoko, kiedy umierają. Wyobraźnia ludowa nigdy nie uogólnia, nie generalizuje. Bez przerwy i znużenia pomnaża ona świat poetyckich rzeczy, wzbogaca nieustannie wizję, dając codzien świeży pokarm oczom, rękom, wargom, wzrokowi i słuchowi.

Kwiaty i słowiki Heinego wywodzą się z rokokowej konwencjonalnej poezji. Ich działanie na czytelnika polega na przeroście nastrojowości, na upartym powtarzaniu tych samych obrazów.

POETA BEZ PLASTYCZNEJ WYOBRAŹNI

Heine nie posiadał plastycznej wyobraźni. Jego metafory i obrazy są albo banalnymi "kliszami", albo — jeśli znajdujemy w nich jakąś oryginalność — jest ona zazwyczaj sztuczna, wykonywana, a jeszcze częściej poprostu wulgarna.

Weźmy pod uwagę następujące przykłady: "strumień łez", "na skrzydłach pieśni", "rumieniec nie kwitnie na mej twarzy", "otulony szarym płaszczem jadę samotny w las", "moja głowa jak świergocące gniazdo pełna jest księżyk nadających się do skonfiskowania", "wiatr wciąga spodnie", "na chmurach spoczywa księżyc — olbrzymia pomarańcza".

Heine nie rozumiał zupełnie czym jest właściwie metafora. Sądził, że powinna ona od czasu do czasu ozdabiać wiersz, że czytelnik powinien na nią niespodzianie trafić jak na rodyńkę w cieście.

Posledni poeci barokowi uważali także metaforę za rodzaj dekoracji, za środek zdobniczy. Błyszczała ona, dźwięczała, pachniała i tańczyła przed skromnym, oszłoniętym pocziwiną czytającym.

Metafora w słowach takich poetów jak Homer, Pindar, Wilhelm z Poitiers, Petrarca, Shakespeare, Donne, Słowacki i Rilke stała się bodaj czy nie najważniejszym środkiem ekspresji, najlepszym echem skomplikowanych, prawie nie wyrażalnych przeżyć. Taka metafora nie dekoruje. Taka metafora nie komplikuje.

Istnieją bowiem uczucia, które nie mogą być wyrażone w żaden inny sposób jak tylko przez metaforę. Są to być może największe i najgłębsze uczucia, jakich serce ludzkie zdolne jest doświadczyć.

Metafora przeczyna rzeczywistość zaświatów, wieczności, nieskończoności, unosząc ducha do takich wyzyn, gdzie w szczęśliwej samotności można rozmawiać z tajemnicą i przetwarzać to co przemija na muzykę dotąd nieznaną i niepojętą.

Najlepsi poeci metafory są jednocześnie poetami metafizycznymi.

MAŁE PIOSNKI ZE SZTUCZNEGO ZŁOTA

Nawet w porównaniu ze swymi współczesnymi, jak Nowalis, Moerike czy Lenau, nie osiągnął Heine ich szczytów natchnienia. Im wyżej bowiem podnosi się nastroj liryczny, tym więcej w nim metafizycznych melodii.

Heine znajdując się zawsze bardzo blisko ziemi. Cierpienie jego nie boli nas prawie wcale. Niekończące się powtarzanie tych samych słów o smutku powoduje jedynie to, że przyzwyczajamy się do niego szybko. Spacerujemy — jak autor — po konwencjonalnym rokokowym ogrodzie pomiędzy przystrzyżonymi klombami i oplakujemy teatralnie jego bóle, które dzieją się gdzieś daleko od naszych przeżyć, pośród „róż cyprysów i sztucznego złota”, w słodkiej, udrapowanej nudzie.

„Z moich wielkich cierpień tworzę małe piosnki”. Gdzież są te wielkie cierpienia? To, co znajdujemy w „*Księdze Pieśni*”, wyraża jedynie sentymentalną palpację małego, ciasnego serca, w piosenkach lśniących na pokaz, w piosenkach ze sztucznego złota.

Na szczęście czytamy wreszcie na jednej ze stron: „Pragnąłbym płakać, ale nie potrafię”. Rychło jednak przekonujemy się, że poeta zwiódł nas celowo. Płacze przecież dalej, będzie płakał bez końca: w każdym nowym tomie wierszy, każdej jesieni i wiosny; stale, aż do wieczystej nudy.

Te same elementy treści i formy wypełniają zwrotki „*Atta Troll*” i „*Deutschland*”, „*Romanzero*” i „*Letzte Gedichte*”.

Tematy są naturalnie różne. Sentymentalizm autora przywdziewa czasem maskę ballady, często ukrywa się za historycznym patosem; jedna jednak melodia pozostaje niezmiennie ta sama: tęsknota bez namiętności i buntu, troska bez moralnej odpowiedzialności za życie.

METAFORA PRZECIWI POINCIE

Gdy chodzi o element komiczny heinowskiej twórczości, charakteryzuje on w istocie całą jego poezję, ponieważ odpowiada autorowi „*Heimkehr*” idealnie.

Dowcipy czyta się jak rebusy, które — jeśli rozwiązane — tryskają śmiechem. Każdy dowcip musi mieć *pointe*, która jak wskazówka w bombie zegarowej określa dokładnie czas eksplozji.

Przedstawiliśmy tutaj, że technika Heinego była ograniczona, że nie wyszła ani razu poza wąskie ramy epigońskiego konwensansu. Heine używał głównie *pointy*, którą w swojej technice literackiej wykorzystywał do ostateczności. Nadawały się do tego jego wiersze, składające się najczęściej z trzech lub czterech zwrotek, to znaczy z dwunastu linijek, których uproszczona mechanicznie treść aż prosiła się o *tricki* rebusowe.

Pointa w ten sposób gromadzi i układa materiał liryczny, żeby uwagę czytelnika ześrodkować na ostatniej linijce. Oczywiście tak pojęta technika *pointy* staje się bardzo niebezpieczna dla poety, ponieważ zaniedbuje lub wręcz neguje autentyczność rzeczywistości, szczerłość w wypowiadaniu przeżyć. Poetę *pointy* obchodzi jedynie owa raz już wspomniana „wskazówka” w bombach czasowych jego liryczno — rebusowej poezji. Poeta *pointy* stara się jedynie nastawić tę wskazówkę na właściwy moment, ażeby dowcip techniczny wybuchł w ostatniej linijce przed oczami naiwnego jak dziecko czytelnika.

Heine rozciągnął technikę *pointy* na całą swoją poezję. I dlatego właśnie element komiczny gra większą rolę w jego twórczości niż element smutku, którego forma wypowiedzi zależna jest zresztą także od *pointy*.

Należy dodać, że technika metafory jest wręcz przeciwna technice *pointy*. Technika *pointy*, zapewne najniższa w gatunku ze wszystkich znanych literaturze, musi być pogardzana, jeśli nawet nie nienawidzona przez każdego prawdziwego poeetę.

CYNIZM — DUCH NEGACJI

Gdy chodzi o treść satyrycznych utworów Heinego, wyrażają one stosunkowo najwięcej szczerości. Często tkwią nawet korzeniami w prawdziwym przeżyciu:

„... Ich ass
dort Eierkuchen mit Schinken,
Und dass er sehr gesalzen war
Musst' ich auch Rheinwein trinken”
(z „*Deutschland*”)

Niewątpliwie interesujące to wyznaczenie poety nie zostało tu zaciemnione ani przez lzy ani przez chmury smutku. Takie i jeszcze wulgarniejsze od cytowanego wyznania w „*Verschiedenen*”, szczególnie w opisie Yolanty i Marii, wydobyl Heine „z głębi serca”.

Szczerłość Heinego w satyrach graniczy z cynizmem, który przeradza się nierzadko poprostu w bluźnierstwo (jako przykład „*Himmelbraute*”). Trudno oczywiście nazwać piewę cynizmu bojownikiem jakiegokolwiek idei. Cynizm zaprzecza istnieniu wszelkich ideałów.

Heine często wyszydzał w podkasanych wierszykach swoje własne porywy i ideały. Czynił to zawsze z cynizmem.

On — bojownik sprawy? Jeden z jego „bohaterów”, niedźwiedz *Atta Troll* z „*dem letzten freien Waldlied der Romantik*”, w taki sposób został przez poetę wyszydzony: skórę romantycznego zwierzaka kupiła przypadkowo niejaka Julitte i:

„in ihrem Schlafgemache zu Paris
liegt sie vor dem Bette als Fussdeck”.

W pewnym sensie był Heine bojownikiem wolności, jeśli się zgodzimy z autorem „*Księgi Pieśni*”, że „najswobodniejszą wolnością jest wolność żartu”.

W rzeczywistości był to typowy, zadowolony z siebie dziewiętnastowieczny burżuj, z całą

problematyką, przysądami, z całym sentymentalizmem i cynizmem tej wysoce niepoetyckiej klasy.

Zarówno „*Atta Troll*” jak i „*Deutschland*”, gdzie wrodzony Heinemu duch komizmu dominuje, nie zawierają wiele poezji; przeciwnie: ukazują co chwila niewybredny smak autora i nużą, przeladowane materiałem prozaicznym. W „*Deutschland*” na każdej stronie spotyka się podobne fragmenty, jak ten:

„Der Koenig Ludwig der Fuenzehnte starb
Ganz ruhig in seinem Bette.
Der Sechzehnte aber ward guillotiniert
Mit der Koenigin Antoinette”.

Satyra może być także pozytywna, czego najlepszym dowodem „*Candide*” Voltaire'a. Satyra Heinego jest wyłącznie negatywna. Nienawidzi, a nienawidząc — fałszuje.

„Der Cancan des Mittelalters ward hier
getanzet von Nomen und Moenchen” — wola szyderca. Tyle ma tylko do powiedzenia o najwspanialszej epoce poetyckiej świata. Cynizm idzie w parze z nihilizmem. Cynizm i nihilizm oddalają poetę od źródeł natchnienia.

DLACZEGO HEINE BYŁ TAK SŁAWNY?

Do roku 1870 sprzedano 200.000 egzemplarzy „*Księgi Pieśni*”. Płaczący i sztydzący poeta zdobył sobie niecodzienną sławę.

Zapomina się jednak, że sam Heine był „twórcą” swojej popularności. Początkowo pisał reklamy księgarskie do własnych „*Gedichte*”. Potem zajmował się niestrudzenie wybitnymi osobistościami, aby na ich tle stać się ważnym. Pochlebiał im albo z nich szydził. Obie metody zapewniały pożądaną reakcję: dawały rozgłos. Celowo napadał więc Heine najróżniejszych pisarzy, żeby w hałasie dziennikarskich sporów spopularyzować swoje nazwisko.

Rola jego w „*Annalach*” udowadnia, jak łatwo potrafił Heine zapomnieć o własnych poglądach politycznych i literackich, jeśli to tylko przynosiło korzyści osobiste. Dał się ochrzcić w przekonaniu, że będzie to „najlepszy” bilet wstępu do europejskiej kultury — jak się sam w jednym z listów wyraża.

Rodak poety (A. Bartels) nie waha się stwierdzić, że Heine „był w reklamowaniu siebie niemniej utalentowany niż w poezji”.

Reklama tworzy szybko legendy. Przypisywano Heinemu wiele niezwykłych umiejętności. Między innymi twierdzono, że posługiwał się mistrzowsko francuskim językiem w mowie i w piśmie. Francuzi jednak nie byli tego samego zdania. Po dwudziestu latach pobytu w Paryżu francuski Heinego był „*panache de barbarismes et de phrases inadmissibles*”.

W podobny sposób można się rozprawić z innymi legendami, wybudowanymi misternie naokoło autora „*Księgi Pieśni*” przez gorliwą reklamę.

KIM BYŁ NAPRAWDĘ HEINE?

Kim był więc Heine? Czy tylko miernym poetą, wyniesionym na szczyty przez przesadną chwałbę nieuczciwych lub nieudolnych krytyków? Czy nie ma wcale rysów sympatycznych w twórczości i życiu Heinego?

Należy litować się po chrześcijańsku nad ostatnimi latami poety, dogorywającego powoli w potwornych męczarniach. Szczególnie jeśli się pamięta te słowa jego listu:

„Die schrecklichsten Kraempfe. Auch meine rechte Hand faengt an zu sterben, und Gott weiss, ob ich Ihnen noch schreiben kann. Diktieren peinigend wegen der gelahmten Kinnladen. Meine Blindheit ist noch mein geringstest Uebel” (7 Juni, 1949).

Jeden z krytyków zauważa jednak nie bez słuszności, że "nie widzi oczyszczającego przez cierpienie wpływu choroby Heinego na jego twórczość, ponieważ zarówno "Gesamtdnisse" jak i "Letzte Gedichte" należą do najbardziej cynicznych i przewrotnych utworów, jakie on kiedykolwiek napisał".

W latach strasznych cierpień dźwięczy wciąż ta sama stara i banalna melodia, która nie umie spłynąć z powierzchni życia w głębie natchnienia:

"... Gemieren wird das Weltgetriebe
Mich nie, denn selbtengeh ich aus:
in Schlafrock und Pantoffeln bleibe
ich gern bei meiner Frau za Haus.
... Gesundheit nur und Geldzulage
Verlang ich, Herr: O lass mich froh
Bei meiner Frau in status quo.

Gdzież jest ten okrzyknięty i osławiony przez krytykę pesymizm Heinego?

Do ostatniego tchnienia kochał on życie. Z epikurejską żądzą wygody starał się być sławnym za wszelką cenę; z cyniczną szczerością odkrywał płytki sentymentalizm swego serca; z "robioną" naiwnością małomieszcząską oplakiwał kwiaty i słowiki.

"Bleich Blumenchen bleibt immer so bleich".
Tak. To wszystko! "Mein Liebchen, was willst du noch mehr?"

W EPOCE DUCHOWYCH UPROSZCZEŃ

Heine jest ojcem dzisiejszej poezji ułatwionej, która już w połowie dziewiętnastego wieku załaziła kulturalną Europę, Europę Dantego i Shakespeara.

Poezja ułatwiona rozrosła się w wielu krajach, oddana w jednych całkowicie na usługi propagandy, w drugich kokietująca publiczność z literackiego kabaretu, gdzie dowcip przywdział lekkie, przejrzyste szatki sentymentalizmu. Oba rodzaje miały w sobie tę samą łatwowarną lekkość, która — rzecz jasna — pociągała prymitywnego czytelnika, gdyż mógł wszystko bez jakiegokolwiek wysiłku intelektualnego rozumieć. Czytelnik poczuł się ważny. Poezja ułatwiona dała mu złudzenie, że znajduje się na tym samym poziomie co i twórca. Dziś to złudzenie z przed 50-ciu lat jest coraz częściej smutną rzeczywistością.

Od połowy dziewiętnastego wieku żyjemy w epoce duchowych symplifikacji. Wszystko musi być proste i łatwostrawne. Sztuka powinna bawić. Najpoczytniejszą książką XX-go wieku stała się jednotomowa encyklopedia.

Heine przeczuł nadchodzącą epokę Hollywoodu i niejako uprzedził jej styl w swojej liryce.

Wszystkie popularne elementy jego czasu, wszystkie zbanalizowane idee i style, które przekazała tradycja, zostały stopione w lśniąca mieszaninę przypominającą sztuczne złoto; a była to mieszanina —

— tak zwanego "weltschmerz", romantycznej ironii, parodii a la "Beppo", wschodniej egzotyki, napoleońskiej legendy, francuskiego antyklerykalizmu, mdłego rokokowego pejzażu, erotyzmu w stylu Ludwika XV-go, wolteriańskiego bluźnierstwa i t.p.

Wszystkie mody, style, motywy, kierunki i slogany, które przypadły do gustu ówczesnej publiczności, zostały przez Heinego zużyte.

Tajemnica powodzenia Heinego polega na tej właśnie mieszaninie treści i uproszczeniu formy.

Heine-poeta żył chwilowymi wzruszeniami, reportażem uczuć, aktualiami nieprzetrawionych obserwacji. Pozbawiony meta-

(Dokończenie obok).

MIMOCHODEM

POLSKA I MONACHIUM

Od Redakcji: Nie bez korzyści może przeczytają przyszli historycy bardzo interesujący felieton, napisany w formie dialogu, w londyńskim PUNCH'u z 29 marca 1944, p.t. "Little Talks". Felieton ten, podpisany inicjałami A. P. H., podajemy tu w tłumaczeniu. Zdążył też przedrukować ten felieton Dziennik Polski, w tak znacznym jednak skrócie, że wyszło nie to, co PUNCH opublikował.

"A więc jesteś za Piątym Rozbiorem Polski? Nie pleć głupstw, stary chłopie."

Zgoda. Będziemy mówić o czym innym. To wydaje się przesadzone:

Naturalnie. Kto w takim momencie wsuwa kij w kółka jednoci Aliantów —

Naturalnie, stary druhu, naturalnie. Słowa już nie powiem.

A zresztą, cóż można na to poradzić?

Poradzić na co?

No, na ten Piąty... jak mu tam, na to o czym mówiliśmy.

Chyba nie dużo. Ale czy sądzisz, że kiedy nie można na daną sprawę nic zaradzić, najlepiej jest ją okłaskiwać?

Nie myślę tak, ściśle biorąc. Ja sądzę — naturalnie! musimy być realistyczni.

"Realistyczni"?

Widzieć fakty.

Fakty siły?

To jeden z nich, zapewne. I, naturalnie, jednolitość etniczną.

Tędy go! Może odłóżmy to na bok, na moment. Ale co do "siły"? Sądzisz pewnie, iż czasem chłopisko może być tak mocne, iż najmniejszego by pożytku nie było osiągnąć wysokiego konia moralności i powiedzieć mu, że nie ma prawa czynić tego lub tamtego?

Nie, jeśli nie możesz go powstrzymać — napewno nie.

A, jak mi się zdaje, nie patrzysz przychylnie na pochód wydarzeń, które określa się krótko jako "Monachium"?

Naturalnie.

I gdybyś był w Izbie Gmin, kiedy Lewica z zaciekością wrzeszczy w kierunku Prawicy — "Monachium" i myśli, że trafia w sedno — zgadzałbyś się?

Z pewnością.

Dlaczego?

No, to chyba jasne?

Ja myślę że jasne. Rozumujesz, że Siła zatrzymowała nad Prawem — i że bezwstydnie przyklasnęliśmy temu zwycięstwu?

Tak jest, mniej więcej.

(Dokończenie z sąsiedniego łamu)

fizycznej perspektywy, która ukazuje pocie drogę do wiecznej sławy, stał się więc Heine pierwszym felietonistą liryki.

Benedetto Croce, wielki nauczyciel nowoczesnej estetyki, powiedział gdzieś, że "prawdziwy poeta obdarzony wyobraźnią posiada własną filozofię powszechnej analogii".

Metafora wypowiedzi tę powszechną analogię.

Autor "Księgi Pieśni" niewiele wiedział o istocie poezji. W naszych oczach jest on w dużej mierze odpowiedzialny za upadek liryki europejskiej.

Po latach dziennikarskich sporów o Heinego — człowieka można wrzeszczeć z obiektywną obojętnością wydać wyrok o Heinem — pocie.

I oto ten wyrok!

JERZY PIETRKIEWICZ

Lecz, czyż nie byliśmy "realistyczni"? Czyż nie opieraliśmy się na faktach?

Co za faktach?

Faktach siły, żeby już nie wspominać etnicznej jednolitości Sudeckich Niemców — niech im tam na zdrowie, biedakom.

Nic nie może usprawiedliwić Monachium.

Sądzisz, że gdyby mogło być po twojemu, powinniśmy byli w jesieni 1938 r. pójść na wojnę z Niemcami w obronie integralności i granic Czechosłowacji?

Co za mielojalne pytanie. Przypomnij sobie tylko, że cały kierunek naszej polityki zagranicznej w latach poprzedzających —

Najzupełniej lojalne pytanie! A cóż ma z tym wspólnego cały kierunek naszej polityki zagranicznej?

Jakto, a bezwstyd, z jakim traktowaliśmy Rosję!

Biedna, malutka Rosja. Najechaliśmy ją, czy co?

Posłaliśmy tego cywilnego urzędnika, Stranga. Przez całą wojnę go gdzieś posyłamy.

Nawet — smy go uszlachcili, jak mi się wydaje. Tak, ale tam posłaliśmy Ministra Spraw Zagranicznych, różne rodzaje Ministrów — a nawet samego Premiera.

Zgoda. A więc twierdzisz, że gdybyśmy byli posłali naszego Ministra Spraw Zagranicznych do Rosji w 1938 r., ona poszłaby na wojnę z Niemcami w obronie integralności i granic Czechosłowacji?

Z pewnością — to znaczy gdybyśmy się przyłączyli my i Francja.

Cóż ci każe tak myśleć?

No, ja sądzę, że tak się powszechnie myśli. Dłaczegoż to, w takim razie, w 1939 nie poszła ona na wojnę z Niemcami w obronie integralności i granic Polski, chociaż Francja i Brytania jak mogły tak się przyłączyły?

Dobrze wiesz o co chodzi. Bo jej dokuczano. Kto? Polska?

Nie, my.

To wygląda po dziecinemu. Masz na myśli posyłanie Stranga?

Tak, i inne rzeczy. Nie konsultowano jej wcale co do Czechosłowacji.

Czy to powód do najechania Polski w rok później?

Ona najechała Polskę w samo-obronie.

To coś tak jak myśmy mogli byli najechać Południową Irlandię?

Tak. Ale nie mieliśmy wojska.

I to było w porządku? Mam na myśli najechanie Polski od wschodu, kiedy Niemcy czyniły to samo od zachodu.

W tych okolicznościach — tak.

Więc Siła jest Prawem?

Musimy być realistyczni.

Więc cóż zarzucaś Monachium?

To, że w Monachium byliśmy słabi i tchórzliwi. Zdradziliśmy Czechów.

A więc trzeba było "wołać, że Hitler bluffuje" — i iść na wojnę.

Tak.

Nawet bez Francji? I bez broni?

No, o tym ja nic nie wiem.

Ani ja. Ale zastanów się — czy sądzisz, że powinniśmy wołać, że Rosja bluffuje?

Co do czego?

Co do Polaków. Założmy, że weźmie więcej Polski niż powinna. Nie wiem czy to zrobi. Ale założmy. A zdarzyło się to już przedtem.

Cóż możemy uczynić przeciw Rosji? Jak, na przykład, dostaniemy się do Polski?

Bliżej ona niż Czechosłowacja.

I cóż z tego?

Wedle ciebie, trzeba było ruszyć na obronę Czechosłowacji w okresie Monachium, chociaż Niemcy były po drodze i nawet gdyby Francja nie przylatowała się? A teraz mówisz —

Niemcy są jeszcze po drodze!

Słusznie. Ale przyjąwszy, że pobiliśmy Niemcy, czyż nie należałoby wtedy iść na wojnę z Rosją w obronie integralności i granic Polski?

Z pewnością nie. Rosja to nasz sprzymierzeniec.

I Polska także. I nawet wcześniejszy. Ale ja rozumiem twój punkt widzenia. Naturalnie.

To ci się chwali.

Churchill jest w tej samej sytuacji co biedny Chamberlain?

Wcale nie.

A więc pochwalasz Piątą Rozbiór —

Tego nie powiedziałem. Zważ no, stary chłopie, to są delikatne sprawy i ja bym myślał, że im mniej się mówi o nich, tym lepiej. Możesz mi zawierzyć, że Rosja postąpi jak zechce — zarobiła sobie na to — i jeżeli nie możemy jej powstrzymać, nie ma sensu jej rozdrażniać.

Rozumiem. Ale czy nie wygląda to na "appeasement"?

Ciągle robisz to głupie porównanie. Tu nie ma porównania!

Dlaczego nie?

Gwałt na Czechosłowacji to jedna sprawa; rozsądne dopasowanie na nowo granic Polski — to zupełnie inna sprawa.

O, czyżby tak? Polacy widzą pewne podobieństwa.

Polacy są niemądry.

A zatem pochwalasz Piątą... Nie, nie. Nie piszę już o tym. Ale pomyśl. Gdyby tak Szkocja była silnym, wojennym Mocarstwem (i wyznawała inną religię) i gdyby nam tak powiedziała: "Obawiam się ataku z południa. Przesuńmy więc Granicę o sto mil w kierunku południowym, a zresztą tak za jednym zamachem — potrzebne nam są Oxford i Cambridge..." Nadążasz?

Tak.

Więc, czy sądzisz, że byłoby bardzo dziecinne z naszej strony, gdybyśmy tak wysunęli parę zarzutów formalnych?

I tu nie ma porównania. No i bądź co bądź Polacy wszyscy są kapitalistami i właścicielami ziemskimi.

To przypadkowo nieprawda. Ale nawet gdyby tak było, nie pojmuję, jaki by to mogło mieć związek z dyskusją.

Mój biedny, stary chłopce. Zostałeś setki mil z tyłu za czasem, który idzie naprzód. Ciągle jeszcze myślisz w kategoriach narodowości i geografii. Wygląda na to, że nie zdajesz sobie sprawy, iż nowy świat, nowe granice, są ideologiczne.

Rozumiem. To dlatego Stalin uznał Badoglio, ex-faszystę podtrzymującego włoską Monarchię, która podtrzymywała była Mussoliniego?

No, naturalnie... Stalin jest realistą i nigdy, w rzeczy samej, nie pozwolił na to, żeby mu ideologiczna pedanteria przeszkadzała w praktycznych międzynarodowych sprawach.

Tak, czytuję coś takiego, z pewnym zdumieniem, w TRIBUNE, czy TUMBRIL czy jak im tam. Ale, wobec tego, dlaczego był zły na nas — i dlaczego ty byłeś zły — za to żeśmy paktowali z Franco podczas wojny — i żeśmy nie interweniowali w hiszpańskiej Wojnie Domowej? Była to ideologiczna wojna, czyż nie tak?

Naturalnie. I tym razem dopuściliśmy do upadku strony, która miała rację.

(Dokończenie obok)

ZE ŚWIATA PRAWNICZEGO

NAJWYŻSZY SĄD WOJSKOWY

(a) Jak wiadomo, przepisy karne wojskowe znają dwa tryby postępowania karnego: postępowanie zwyczajne i wyjątkowe, tak zwane postępowanie wojenne. Na terenie Anglii polskie sądy wojskowe działają w trybie postępowania wojennego.

Przed kilku tygodniami został utworzony Najwyższy Sąd Wojskowy. Wobec tego, że przy istnieniu postępowania wojennego, zakres działania Sądu Najwyższego jest bardzo ograniczony i sprowadza się jedynie do wydawania opinii prawnych i wznawiania postępowania w sprawach zakończonych prawomocnymi wyrokami, których to spraw z natury zeczy jest bardzo niewiele, należy przypuszczać, że utworzenie Sądu Najwyższego poprzedza wprowadzenie zwyczajnego postępowania. W tym ostatnim bowiem wypadku Sąd Najwyższy nabiera dopiero właściwego sobie ciężaru, stając się instancją odwoławczo-kasacyjną wobec wyroków sądów pierwszej instancji.

Postępowanie wojenne, odbiegające w wielu wypadkach od ogólnie przyjętych zasad procesu karnego, przewidziane jest z natury rzeczy dla spraw wymagających doraźnej represji i winno być stosowane na terenach objętych działaniami wojennymi. W pozostałych zaś wypadkach sądzić powinny sądy zwyczajne. Nie odpowiada bowiem zupełnie ani duchowi ani treści przepisów rozpoznawanie przez sądy wojenne "pyskówek" i spraw im podobnych. I żałować należy, że postępowanie zwyczajne nie zostało w naszych sądach wojskowych odrazu tu wprowadzone.

Inną sprawą, którą winien się zająć Najwyższy Sąd Wojskowy, jest przygotowanie reformy sądownictwa wojskowego w Polsce. Sądownictwo to należy oprzeć na wzorach zachodnio-europejskich, poddając osoby wojskowe w zakresie popolitych przestępstw karnych właściwości sądów powszechnych, z pozostawieniem sądom wojskowym czy też postępowaniu dyscyplinarnemu ograniczonej właściwości w sprawach o naruszenie dyscypliny wojskowej i porządku wojskowego.

TREŚĆ Nr. 68 "Myśli Polskiej":

DROGI POLITYKI POLSKIEJ — Tadeusz Bielecki. UWAGI O POLITYCE AMERYKI WOBEC EUROPY — E.S. NOTY I UWAGI; OJCIEC POEZJI ULATWIONEJ — HEINE — Jerzy Pietrkiewicz. MIMOCHODEM — POLSKA I MONACHIUM. Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

(Dokończenie z sąsiedniego lamu).

A może tylko byliśmy "realistami"? A może tylko nie pozwalaliśmy na to, by ideologiczna pedanteria przeszkadzała nam w sprawach praktycznych? A może tylko, jak Rosja w Polsce, myśleliśmy o naszej sytuacji strategicznej? A może tylko —

Dość już! Dość, dość. Nie pojmuję, co masz nadzieję osiągnąć przez to wszystko. Kwestia polska jest bardzo trudna, zgadzam się, ale nie wiem, co w niej możemy zrobić.

Ani ja nie wiem. Ale jest jedna rzecz, którą ludzie tobie podobni mogą uczynić.

Cóż to takiego?

Prześcąć wrzeszcząc "Monachium".

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś.P. INŻ. KAZIMIERZ KOSTKIEWICZ

Z KRAJU przychodzi wiadomość o śmierci Z wybitnego obywatela i narodowca, Inż. Kazimierza Kostkiewicza w wieku 83 lat. Tradycje rodzinne wywodzą ród z Ziemi Północno-Wschodnich R.P., Rodzice jednak ś.p. Kazimierza Kostkiewicza — Jakób i Józefa z Bratkowskich — osiedleni byli w Piotrowszczyźnie koło Kazimierza Lubelskiego. Ojciec, "skompromitowany" udziałem w Powstaniu Styczniowym — w oddziale Czachowskiego — chroni się z żoną i synkiem do b. Galicji, majątek ulega konfiskacie. Młody Kostkiewicz zaczyna w innym zaborze pracę od podstaw. Chodzi do gimnazjum Pijarów w Rzeszowie, potem do gimnazjum im Sobieskiego w Krakowie, dyplom inżyniera otrzymuje po studiach w Akademii Górniczej w Leoben, potem zaś dyplom Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W czasie studiów należy do kół zagranicznych ówczesnego "Zetu", potem zaś w Kraju do Ligi Narodowej. Z tych czasów też datuje się bliska osobista i polityczna znajomość i przyjaźń z Romanem Dmowskim, którego przewodnictwu politycznemu ś.p. Kostkiewicz pozostał na zawsze wierny i którego nieraz gościł w swoim domu.

Przed pierwszą wojną światową Kazimierz Kostkiewicz pracuje wydatnie dla Kraju na stanowiskach starosty górniczego w Drohobyczu, Sanoku, Jaśle. W czasie tamtej wojny wyjeżdża do Rosji razem z Stanisławem Grabskim i ś.p. Leonardem Stahlem, pracując cały czas dla Sprawy Polskiej. Po wojnie osiedla się w swym majątku Tróscianiec w powiecie Jaworowskim, woj. Lwowskie. Na wiadomość o zbliżeniu się Rosjan w 1939 r. wysłała na zachód dwie synowe, sam zaś z żoną zostaje mimo nalegań rodziny w majątku. Po paru tygodniach zostaje zmuszony do opuszczenia Tróscianca, a potem wsadzony do więzienia w Niemirowie. Zwolniony chwilowo ukrywa się we Lwowie, poczem przedostaje się do posiadłości syna w Pogwizdowie, w powiecie Łańcutkim, gdzie też w dniu 17 stycznia 1944 zmarł i został pochowany.

Ś.p. Kazimierz Kostkiewicz był jednym z najstarszych, jeśli nie najstarszym zwolennikiem Ruchu Narodowego i członkiem Stronnictwa Narodowego. Nie wysuwając się nigdy na czoło pracy politycznej, brał w niej zawsze duży i pełny udział. Był szczodry na cele społeczne, sfinansował w swoim czasie założenie Kółka Rolniczego w Jaśle, w 1910 r. złożył 15,000 koron na Dar Narodowy, w latach 1936-39 opodatkował się wydatnie na cele założenia dziennika "Słowo Narodowe" we Lwowie. Specjalnie badał wpływy obce w polityce polskiej w czasie tamtej wojny i w archiwum swoim posiadał kilka rzadkich wydawnictw i dokumentów z tego zakresu.

Życie miał twarde, a szedł przez nie o własnej sile. Człowiek granitowych przekonań etycznych i politycznych, nie zmienił ich przez całe swoje długie życie. Pozostawił nazwisko kryształowo czyste, nie skalane uległością wobec władz i mochnych tego świata, ani pochlebstwem wobec tłumu. Na takich ludziach we wszystkich warstwach najczęściej opierała się Polska.

Osierocił w Kraju Matłonkę, Zofię ze Strzelbickich, oraz syna Tadeusza i wnuków Stanisława i Kazimierza, syna Stanisława majora W. P. w Wielkiej Brytanii, syna Bolesława Jakuba porucznika 14 pułku Ułanów w niewoli niemieckiej. Ś.p. syn Zygmunt, porucznik rezerwy i oficer ordynansowy Gen. Andersa oraz więzień i katorżnik w Rosji Sowieckiej czasu tej wojny zmarł z trudów i przeżyć w Teheranie w 1942 r.

Wieczne odpoczywanie i światłość wiekiuista racz dać Panie duszy ś.p. Kazimierza Kostkiewicza.

M.R.

(P.S. Nabożeństwo żałobne odbyło się w dniu 18 kwietnia 1944 o g. 8.30 w Garnizonowej Kaplicy W.P. przy Randolph Place w Edynburgu.)

MYŚL POLSKA

Wychodzi dwa razy w miesiącu.

Redakcja i Administracja:
24, Wellington Road, St. John's Wood,
London, N.W.8. Tel. PRImrose 4350.
Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 6/-
lub 2.
Prenumerata półrocznie (12 numerów):
12/- lub 4.